

**Kowerska Zofia**

**DZIDZIA**

*Nowele*

DZIDZIA

Zamieściłem w Kuryerze warszawskim następujące ogłoszenie:  
"Student drugiego kursu prawa, znający przytem dobrze język niemiecki, życzy sobie udzielać korepetycyje za wynagrodzenie pieniężne, lub za obiady."  
Ta ostatnia perspektywa — obiady zdrowe i obfite, przy stole jakiej porządnej rodziny spożywane, były mojem marzeniem. Przyjechałem ze wsi z żołądkiem przyzwyczajonym do pochłaniania niezliczonej ilości pokarmu i miałem wstręt do uczucia głodu. Znałem je niestety. Już na pierwszym kursie dowiedziałem się, jak czarno przedstawiają się świat i ludzie, gdy się niema za co kupić obiadu; o jakich przewrotach socyalnych rozmyśla człowiek głodny, przechodząc obok okien restauracyi... Ale bywały to tylko czarne momenta. Koledzy przychodzili z pomocą, spadały mi na głowę niespodziane wydarzenia z perspektywą obiadu na końcu, szło się do znajomych, naciągało się kogoś na pożyczenie kilku rubli...  
Aby dalej!.. Me byłem zresztą sybarytą. Nie tyle.

chodziło mi o jakość, co o ilość pokarmu, a wygody życia  
traktowałem z pełnym  
pogardy lekceważeniem. Moje żelazne łóżko miało przez środek  
sztabę żelazną, na  
której sypiałem najwyborniej, gdyż siennik z małą ilością startej i  
świętej  
przez myszy słomy, pozwalał mi tę sztabę wyczuwać w całej jej  
długości i  
twardości. Bielizna moja była w opłakanym stanie; skarpetki... no, na  
ten  
szczegół ubrania pozwolę sobie zarzucić zasłonę... Zupełną wszakże  
pociechą było  
mi przekonanie, że bielizna jest przesądem, wymysłem ludzkim...  
Przecież koszula  
z wykrochmalonym przodem nie jest potrzebą naturalną i ileż to  
wieków ludzkość  
przeżyć musiała, nim wymyślono pończochy? Zresztą, po wierzchu  
wyglądałem jak  
przeciętny, ubogi student, i nie pragnąłem niczego więcej. Byle nie  
być głodnym.  
Gdy nim byłem i gdy się chwytałem na ludożerczych zachciankach  
(gdyż  
wykrzykiwałem w duchu, że chciałbym by mi sporządzono kotlety z  
którego z  
opasłych pasibrzuchów, wchodzących do restauracji), wstyd ogarniał  
mnie nagle i  
zmuszałem się do myślenia o anachoretach, pustelnikach,  
pokutnikach,  
pielgrzymach i pątnikach, dla których głód był rozkoszą.  
Zamieściwszy owo ogłoszenie w Kuryerku, czekałem skutku. Jeden,  
drugi, dziesiąty  
dzień... nic! Pustki w kieszeni coraz większe, a żołądek świeżo ze wsi  
przywieziony... Przywiozłem był też wprawdzie siedemdziesiąt rubli,  
które mi  
wręczył ojciec chłopaków, mordowanych przezemnie najsumienniejsz  
przez całe

wakacje, ale miałem długi... musiałem po ludziach oddać czterdzieści pięć rubli... kupiłem też od strażnika stary rewolwer za dziewięć rubli. Dziś

nie wiem zupełnie, na co mi on był potrzebny; ale już taka była moja natura, że pieniądze rozłaziły mi się Bóg wie jak, i Bóg wie gdzie... Ot, po prostu nie trzymały się. Są ręce, do których lgnij, są i takie, których się czepić nie mogą.

Byłem w rozpacz. Widocznie inni szczęśliwcy połapali wszystkie korepetycje, kondycje i obiady; dla mnie nie zostało nic.

— Poczekaj trochę, — pocieszał mnie Michaś Rowelski, student medycyny, którego mundur tak przeszedł wonią prosektoryum, że koledzy, którym Michaś wizyty oddawał, zawsze ten mundur za drzwi wyrzucali i właściciel tam go dopiero, wychodząc, odzyskiwał, — poczekaj trochę! Niech-no malcy połapią pałki na kwartał, to się rodzice obejrzą, że sztubak tylko korepetytorem stoi. Zobaczysz, że znajdziesz co ci trzeba.

Leoś Kобрzyński obiecywał mi protekcję. Lubił on w obec kolegów pozować na człowieka niesłychanie wpływowego. Słuchając go można było myśleć, że wszyscy wielcy panowie i wielkie panie to tylko robią, co on im podszeptnie. Miał jakieś wysoko położone ciocie, jakichś milionowych wujaszków... Bywał w wielkim świecie, i panie z historycznymi nazwiskami nazywał imionami chrzestnymi. Był

moim kolegą z gimnazyum; kłanialiśmy się sobie, a czasem nawet  
zamieniliśmy słów  
parę... Nie wiem, czy miał między nami choć jednego przyjaciela, ale  
miał  
takich, którym imponował, i którzy, nie wiem dlaczego, świecili mu  
bakę. Ja mu  
okazywałem lekceważenie i pogardę, i może dlatego był dla mnie  
ogromnie grzeczny  
i czuły. Bał się mnie. Czy go trwożyły

moje barczyste ramiona, czy głos basowy, czy wytarta odzież?  
Wogóle tchórzostwo  
było jego cechą wybitną. Bał się nie należeć do zebrań studenckich,  
żeby go od  
kolegów nie spotkała nieprzyjemność; bał się też okrutnie do nich  
należeć... Bał  
się wejść w przyjacielskie stosunki z paczką uboższych kolegów,  
jeszcze więcej  
bał się ich sobie narazić... To uciekał, to się zbliżał do nas... sam nie  
wiedział, jak do nas przemawiać. Wykręcał się... a błagował, a  
kłamał... To  
kłaniał się i witał uprzejmie, to udawał, że nie widzi i nie poznaje...  
Najgrzeczniejszy był, gdym go zbeształ i z błotem zmieszał. Braliśmy  
go na  
fundusz, wypiekaliśmy mu oczy temi jego ciociami i wujaszkami! To  
też już z nami  
o nich nie mówił; ale niechno złapał którego nowego! Zaraz mu całą  
litanię  
musiał wyśpiewać. Taki był próżny!.. istny pęcherz, istny paw!  
Najgrubsze  
pochlebstwa brał za dobrą monetę. Czasem bawiliśmy się  
wmawianiem mu, że  
człowiek, z takim jak on stanowiskiem, powinien żyć... używać...  
Wtedy fundował  
nam, woził... Nazajutrz znowu nas się wstydził... Miał słabość do  
rozmowy

francuzkiej. Podobno rzeczywiście mówił tym językiem doskonale i francuszczyzną można go było daleko zaprowadzić. Posiadał bogatych rodziców, jakiegoś bezdzietnego stryja z testamentem, który za życia też dawał wiele synowcowi, ale to wszystko nie wystarczało. Leoś był w długach po uszy i coroczna likwidacja sprowadzała podobno straszne sceny rodzinne. — Kolega potrzebuje korepetycyi — rzekł raz spotkawszy mię. — Gdybym był wiedział wcześniej... właśnie moja ciotka... teraz już każdy sobie znalazł...

Ale mam na myśli jeden dom... ze sfer wyższych... jeżeli tam wakuje jeszcze posada... mogę kolegę zapewnić... — Dziękuję koledze, — odparłem z ironią, na której się wcale nie poznał, — wiem, że kolega jesteś człowiekiem wpływowym... że kolega jesteś dobroczynny i masz otwarte serce dla... — A naturalnie... naturalnie, — odparł protekcyjonalnie, — szkoda tylko, że wcześniej... Wyminąwszy go szepnąłem sobie nazwę zwierzęcia rodzaju żeńskiego, z którym porównywaliśmy Leosia. Zwykle mówiliśmy: "Ta małpa, Leoś." Nic i nic! Pierwszego dnia, gdym na obiad zjadł tylko ośmnaście bułeczek, po które posłałem stróża, udawszy że na górze zapomniał portmonetki (bestya, uśmiechał się złośliwie i wiedział, co o tem zapomnieniu myśleć), napisałem do ojca list rozpaczliwy. Mówiłem rodzicowi memu, że głód uczynił ze mnie

szkielet... wyschły, zżółkły, szkielet tylko; że rękami do żylastych szpon podobnemi, wrywam sobie włosy na głowie (kilka włosów z grzebienia rzuciłem na papier); że kupiłem już rewolwer dla odebrania sobie życia, jeżeli nie dostanę pomocy. "W grób pójdą nadzieje rodzicielskie... w grób wiedza zdobyta mozolnie... w grób młode siły stargane przed czasem... w grób marzenia o sławie, znaczeniu, fortunie i usługach oddanych ludzkości... w grób słodycz otoczenia starości rodzicielskiej dostatkiem, wygodą, aureolą synowskich zasług!..." Brałem ojca na różne sposoby, ale nie dał się złapać. Odpisał mi, żebym sprzedał rewolwer a ku-

pił sobie obiad. Ba! łatwo to było powiedzieć: "sprzedać rewolwer." Próbowałem ja ci tego sposobu, ale się pokazało, że strażnik oszukał mnie najbezpieczniej. Rewolwer nic nie był wart. Grosza mi za stary, zardzewiały grat dać niechciano. Powiesiłem go nad łóżkiem. Jego widokowi przypisuję, że miewałem często sny wojownicze. Czasem na jawie marzyłem o jakichś rozbójnikach, napadach, wyratowaniu z niebezpieczeństwa jakiejś pięknej kobiety... Przyznaję, że nigdy mi się nie zdarzyło ratować w ten sposób brzydkiej... Moje wyratowane miały powłóczyście szaty i coś w spojrzeniu takiego... Przez wdzięczność pozwalały mi się kochać... Ona: "Kto tak życie narażać potrafi, umie też pewnie oddać je

nazawsze." Ja: "W tej chwili dopiero poznałem, że żyć warto... że żyć jest  
szczęściem,.. Nie dbałem o życie... pani dopiero tchórza ze mnie  
uczynić  
gotowaś.." Takeśmy sobie w najlepsze rozmawiali, ja leżąc przed  
zaśnięciem na  
mojej żelaznej sztabie, ona unosząca się w mgle marzenia...  
W rzeczywistości byłem wobec kobiet szykownych i salonowych  
nieśmiałym aż do  
głupoty. Bałem się ich, nie znałem ich świata... miałem tylko ku nim  
jakieś  
tęsknoty... nadzieje na przyszłość... Tylko wobec dziewcząt wiejskich  
i  
służących, czułem się w swoim żywiole. Gdym się znajdował na wsi  
jako  
korepetytor lub w domu ojca, który był niezamożnym dzierżawcą,  
Marysie, Jewki,  
Franki, Jantosie bywały przedmiotem moich zabiegów. To był świat  
kobiecy, który  
znałem. O innym marzyłem tylko... z dreszczem trwogi i oczekiwania  
myślałem o  
chwili, w której się do niego zbliżę. Nie wątpiłem, że chwila

ta nastąpi i, prawdę mówiąc, była ona najjaśniejszym punktem mojego  
horyzontu.

Z Kuryera warszawskiego przenieśli ogłoszenie do Kuryera  
codziennego,  
zmieniwszy trochę styl i zwroty i niewspomniawszy już nic o  
obiadach. Było mi  
wstyd wyciągać rękę na ostatniej stronie tego samego dziennika.  
Zdawało mi się,  
że przechodnie pokazywali mi sobie palcami: "Patrz, oto ten student,  
co się  
wciąż ogłasza w Kuryerze warszawskim. "Tylko com raz jednemu nie  
krzyknął, że  
się przeniósł do Codziennego.

Głód już naprawdę doskwierał. Pożyczone mi przez Michasia trzy ruble zjadłem, co do ostatniego grosza; stróża o bułki już prosić nie śmiałem... no, rozpacz!  
Poszedłem na miasto z gęstą miną, zamasyście mijałem przechodniów, ale spacer jeszcze bardziej mię wytrawiał... jakieś rewolucyjne, maratowskie przychodziły mi zachcianki... Stanowczo orzekłem, że "własność jest kradzieżą."  
Wróciłem do mieszkania (gospodarz już groził wyrzuceniem mię z niego) i próbowałem sobie wmówić, że jedzenie jest tylko złem przyzwyczajeniem. Potem zagłuszałem głód, śpiewając tak głośno, że aż się wśród dość pustych ścian rozlegało; nie mogłem mojej wyobraźni oczyścić z widziadeł takich, jak dymiące, świeżo z kuchni przyniesione bifsztyki, sążniste, w plastry pokrajane pieczenie... Ha, są szczęśliwi ludzie na świecie! Cobym też zadysponował sobie na obiad, gdybym był panem i miał własnego kucharza? Począłem dysponować, ale zawstydziłem się tej dziecinnej zabawki. Cóż to? trochę głodu znieśćbym nie miał odważnie? I znowu mi wracała moja mania dyspono-

wania. Właściem był orzekł, że na ostatnią potrawę miałem mieć pierogi z trześniami ze śmietaną, gdy się rozległo pukanie. Rzuciłem się do drzwi. Stał w nich lokaj w liberyi z biletem w rękę. Na bilecie wyczytałem: "Helena z hrabiów Czarnozorów Pawężyna, " potem śnieżnym kobiecym pismem: "prosi o przybycie dla



rozmówienia się o korepetycyce. " Krew uderzyła rai do głowy.  
Korepetycyce!  
Marzenie mogło się stać żywym ciałem.  
Wiedziałem, że pierwsze piętro domu, w którym mieszkałem pod  
strychem (studenci  
— to ptaki, gnieźdzące się wysoko), zajmowała rodzina Pawężów.  
Widywałem  
wjeżdżającą w bramę karetę... jakieś suknie i twarze, migające po za  
jej  
szybami...  
— Tu na pierwsze piętro? — zapytałem lokaja.  
— Tak, jaśnie pani pyta, kiedy pan będzie mógł przyjść.  
— Zaraz... w tej chwili... za pięć minut... Gdy lokaj znikł, poszedłem  
poradzić  
się obła-  
manego lusterka, czy mogłem stanąć, tak jak byłem, przed panią  
Pawężyną.  
Zmieniłem kołnierzyk, przyczesalem włosy, po baryerze schodów  
zjechałem na dół i  
z obejmującą mię potrochu nieśmiałością zadzwoniłem. Przyciśnięta  
zgóry sprężyna  
spowodowała otworzenie się drzwi; wszedłem na schody, wysłane  
dywanem, ozdobione  
roślinami w skrzynkach... O, źle!.. Coraz więcej czułem się nieśmiały  
i wydałem  
się sobie jakiś brudny i obdarty... Ale trudna rada! Kto się ogłasza w  
Kuryerkach...  
Na ostatnim schodzie u góry stał ten sam lokaj, który mi przyniósł  
bilet pani.  
— Jaśnie pani jest w salonie.

Wprowadził mię do przedpokoju i wskazywał drzwi na lewo.  
Sam nie wiedziałem, jak wszedłem i jakem się znalazł przed siedzącą  
w salonie  
panią. Podniosła się ona zwolna i krok jeden uczyniła na moje  
spotkanie. Była

wysoka, piękna, ślicznie ubrana i wydała mi się zupełnie młoda.

— Czy to pan... w Kuryerku?...

— Tak, pani.

Czułem, że jestem okropnie niezgrabny. Pani była podobna do tych kobiet

anielskich, które ratowałem z rewolwerem w ręku i z którymi bywałem tak śmiały i

tak rycerski, wobec niej jednak czułem się, jak złapany... Własne moje ręce

wydawały mi się jakimiś cudzemi, przyprawnymi rękami, a i z nogami, nie

wiedziałem, co robić. Pani była tak swobodna i spokojna, że aż mię zazdrość

brała.

— Siadaj pan, — rzekła, wskazując mi krzesło.

— Ja właśnie poszukuję...

— Tak, i zdaje mi się, że będziemy mogli się porozumieć. Pan znasz dobrze język

niemiecki.

— Tak...

Siedziałem na samym brzeżku krzesła; najłżejsze popchnięcie byłoby mię

przyprawiło o upadek, a słowa więzły mi formalnie w gardle. Czy byłem odważnym

tylko z rewolwerem w ręku?

— Chociaż mieszkaliśmy dotąd w Galicyi... moja córka nie umie ani słowa w tym

języku... Czy mógłbyś pan podjąć się dawania jej godziny lekcji dziennie? Co do

wynagrodzenia, zastosujemy się do zwyczajów...

Głód tak mię w tej chwili szarpnął za wnętrzności, że prawie mimowoli wyrzekł:

— Obiad...

— A, nie, — podchwyciła pani, — pan rozumiesz... obcy człowiek przy stole

rodziny...

— Tak, tak, rozumiem... zdaję się zupełnie na państwa...

— Chciałabym właśnie, byśmy tę kwestyę ułożyli od razu. Pan musisz wiedzieć, co

się tu płaci zwykle za godzinę lekcyi dziennie.

Wymieniłem cyfrę, i umowa stanęła bez zwłoki.

— Czy będziesz pan mógł zacząć lekcyę od jutra? Tak? To dobrze!

Zapoznam pana z

moją córką... ma lat piętnaście... w tym wieku czyni się najszybsze postępy...

Wstała i, zbliżywszy się do drzwi przyległego pokoju, zawołała:

— Dzidziu!

Weszła szczupła i wątła panienska z dwoma warkoczami blond, wiszącymi na plecach.

Miała niebieskie oczy, zdaje mi się, że miała też niebieską suknię, bo było w

niej coś wyraźnie niebieskiego.

— Dzidziu, przedstawiam ci twego przyszłego nauczyciela.

Panienska uśmiechnęła się, ukłoniła... ja jeszcze się stał więcej nieśmiałym.

Ani na jedno słowo zdobyć się nie mogłem.

— Więc jutro... od piątej do szóstej... to najlepsza godzina... Wszak panu ta

godzina dogadza?

Ukłoniłem się.

— Książki... Ach, to się jutro ułoży, jakie książki potrzebne będą...

— Ja tymczasem przyniosę...

— Dobrze, przynieś pan, co pan będziesz uważał za potrzebne...

Nogi mi się plątały, ale wyszedłem. Za mną zabrzmiał srebrny śmiech. Czy to się

Dzidzia śmiała, czy jej matka? Może śmiały się ze mnie.

Miłość własna poruszyła się w mem sercu, ale wkrótce wszystkie inne uczucia

ustąpiły miejsca radości. Mój Boże, miałem lekcyę!... i to lekcyę, dobrze

płatne, w tym samym domu... Nie potrzeba będzie drzeć butów,  
mianowicie przy  
moim sposobie przebywania schodów, ześlizgując się na poręczu.  
Trafiła mię tylko  
myśl, że trzeba będzie zawsze odrobinę staranności w stroju, idąc tam  
na te  
dywany...

Pobiegłem pochwalić się przed Michasiem.

— Głodny jestem, jak pies, ale mam lekcye! — zawołałem. — Niech  
żyją panny,

potrzebujące lekcyi języka niemieckiego! Będę teraz bogaty, jak  
Krezus!... Nad

studentami jest opatrność!... Mówię ci, że ma takie grube warkocze...

— Kto?

— No, ta koza, którą uczyć będę!

— Jest! Jakbym wiedział, że się w niej zakochasz.

— Ja? O, to także!... Piętnaście lat!... Dziecko!

Mówiąc to, nie wiem, dlaczego się zaczerwieniłem. Dzidzię raz, i to  
zaledwie

przez chwilę widziałem, ale kochałem miłość samą... z niepewnej  
przyszłości

wyglądały ku mnie jakieś uśmiechy i spojrzenia...

— Matka jej to, mówię ci, piękna kobieta! — dodałem.

— To na jej intencję raka spiekłeś?

— Ale dajże pokój! Raz widziałem... przecież zameżna kobieta... co ci  
się znowu

zdaje?... Okrutnie głodny jestem!

— No, to chodź!... już się tam przecie znajdzie kawałek mięsa dla  
ciebie w

Warszawie.

Nazajutrz oczekiwałem piątej z niepokojem. Wyprałem i wysuszyłem  
mój gumowy

kołnierzyk, umyłem ręce i doznałem tęsknoty za perfumami...

Chciałbym był

kropelkę wody kolońskiej czy czegoś podobnego "wylać na klapę munduru. Mundur ten wydawał mi się nieświeży i niegodny jej. Takem to w mojej wyobraźni skreślił, ale nie wiedziałem, czy niegodny Dzidzi, czy pani Pawężyny, czy bawialnej sali, w której obie widziałem. O pięć minut przed piątą zadzwoniłem do mieszkania mojej uczennicy. Dzidzia! Co to za imie może być Dzidzia? Idąc po schodach, przebiegłem w pamięci całą litanię imion, ale żadne do zdrobnienia "Dzidzia" się nie nadało. Służący poprowadził mnie do małego saloniku, oświadczając, że pani prosiła, bym zaczekał trochę. Czekałem. Zwalczywszy pierwszą nieśmiałość, począłem się rozglądać po pokoju. Był on przepelniony fraszkami, albumami, fotografiami, wachlarzami, roślinami o liściach oryginalnych, jakimiś parawanikami i tysiącem przedmiotów zbytku. Było mi w nim nieswojo, a jednak dobrze. Począłem wtedy przeczuwać niejasno, że kobieta — to nie tylko jej ciało i dusza, ale także jej suknie, jej otoczenie, powietrze, którym oddycha... wcalem wszakże tego w myśli nie sformułował; później dopiero zdałem sobie sprawę z mojego wczesnego pierwszego przeczucia. Czułem się jakimś niezgrabnym, mizernym i strapionym, wy-

szedłszy z pomiędzy nagich ścian mego mieszkania, przesiąknięch zapachem dymu papierosów, a znalazłszy się nagle wśród tych miękkich kobierców i mebli,

zapraszających do spoczynku wygodnego, wśród tego powietrza,  
napelnionego jakąś  
wonią delikatną.  
Czekałem dość długo. Myśl moja biegła niespokojnie, to się ku  
przeszłości  
zwracając, to ciekawie wyglądając w przyszłość. Zatrzymała się na  
chwilę na  
świecie Jewek i Marysiek, w którym dotąd obracałem się tak chętnie.  
Świat ten  
wydał mi się jakimś bardzo dalekim odemnie. Nareszcie weszły panie.  
Rozpoczęła  
się narada, w którym pokoju najspokojniej będzie na lekcye. W  
stołowym byłoby  
dobrze, ale w tej porze nakrywano do obiadu. W saloniku niebyło  
gdzie się  
rozłożyć z książkami i kajetami... Stanęło na tem, że najwłaściwszy  
będzie  
gabinet pana.  
Dzisiaj wcale nie była ładna. Otworzyli mi na to oczy koledzy,  
którym ją  
pokazałem, przechodzącą ulicą z nauczycielką młodszych sióstr.  
Wiedziałem, kiedy  
wychodzi na spacer, i umyślnie z Michasiem i Stefanem  
Czubowiczem czatowaliśmy  
na nią. Miała futrzaną czapeczkę na głowie, twarz jej, zwykle blada,  
miała w tej  
chwili rumieńce, wywołane ostrym wiatrem, lecz gdym ja,  
zachwycony i dumny,  
tracił, kolegów, rzucając im znaczące spojrzenie, na ich twarzy  
odmalowało się  
rozczarowanie. Stefan nawet wysunął wargę pogardliwie:  
— Beee! — zawołał — brzydka!  
— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Michaś — o, to gust! Cóż ty w niej  
widzisz? No, już  
ten Metek ze..

swojemi pięknosciami!... Jakaś śniada... z szerokiemi ustami...  
Ta ocena kolegów dotknęła mię do żywego; przez miłość własną i  
fałszywy wstyd

rzekłem:

— Ja przecież wcale nie mówiłem, że ona ładna... mówiłem tylko, że  
ma ładne

włosy... mówiłem, że jej matka piękna.

— I dlatego nam ją pokazałeś, że ma piękną matkę? Dobry ten Metek  
ze swoją

logiką! To to owa Dzidzia, którą nam uszy prześwidrowałeś? Cóż to  
za imię

Dzidzia?

— Nie wiem. Cóż to mnie obchodzi?

— Dobryś sobie! Obraziłeś się, żeśmy przed nią nie padli na kolana.  
Przecież ci

wolno kochać i brzydką.

— Któż ci powiedział, że ja ją kocham?

— Toć nam wciąż mówisz, że widzisz, że ona dla ciebie życzliwa, że  
cię lubi...

— No, i cóż z tego, że życzliwa?

— Jakto, cóż z tego?... Coby mię tam obchodziła życzliwość panny,  
któraby mi się

nie podobała? Może i mały Litowicz, którego szkołę, jest dla mnie  
życzliwy, ale

mię to bardzo mało obchodzi! No, patrzcie, myślałem, że Metek ma  
lepszy gust!

Tu Stefan ozwał się sentencyjonalnie:

— Brzydka kobieta jest, jak pasternak; dziewięćdziesięciu dziewięciu  
odwraca

się od tego ze wstrętem, a setny się tem zajada!

Od tej chwili zamknąłem się w sobie i nie mówiłem już o Dzidzi z  
kolegami, ale

pierwsze tygodnie mojej poczynającej się miłości odznaczały się  
paplarstwem bez

miary. Potrzebowałem mówić o niej, o jej matce, o ich dostatkach,  
strojach,

sposobie życia,

o tem, co Dzidzia ranie powiedziała, i co ja powiedziałem Dzidzi, jak śmieszne akcenta kładzie na wyrazach obcego języka, jak trzyma pióro, jak wymawia r zabawnie, jak się stara mnie ośmielić, jaką mi okazuje przychyłność, jakie jej włosy mają dziwne cienie, to popielate, to złotawe, jak na mnie spojrzała, jak się ukloniła i uśmiechnęła, spotkawszy mię na ulicy. Paplałem, jak sroka. Byłbym chciał wyleźć na dach i krzyczeć, że daję Dzidzi lekcye, — taką to było dla mnie nowością, taką nadzwyczajnością, taką rozkoszą, ! Chciałbym się był ze wszystkimi podzielić mojem szczęściem. Czułem, że niem jaśnieję, a i koledzy zauważyli, że musiałem chyba wygrać na loteryi albo się ożeniłem potajemnie i przebywałem w sekrecie przed nimi miesiąc miodowy. Trochę nawet pozowałem przed moimi przyjaciółmi na zjadacza serc niewieścich. Dawałem im do zrozumienia, że byłem wobec Dzidzi śmiałym i pewnym siebie, a nawet przedsiębiorczym; że, choć anim jej może kochał, ani myślałem o żadnej intrydze miłosnej, jednak moje spojrzenie mogło być spojrzeniem pogromcy. Stefan Czubowicz zupełnie wchodził w moje położenie. — No, naturalnie, — rzekł, wysłuchawszy raz mojej paplaniny, — na Wschodzie nawet prawo i zwyczaje uświęciły to, co jest właściwością męskiej natury. Można kochać rok, miesiąc, godzinę... można kochać dawkami: godzinę na dzień...



kwadrans na dzień. Ty może kochasz Dzidzię wtedy tylko, gdy na nią patrzysz.

Mnie się to nieraz zdarzyło! Mówię wam, że przez pół roku kochałem się w trzech naraz kobietach. To położenie!

— I one wszystkie trzy za tobą przepadały — ozwał się Michaś.

— Ginęły! powiadam wam, schły, wędły z miłości. To jeszcze było w gimnazyum.

Jedna była żoną profesora, u którego stałem, druga Milcia, moja kuzynka, trzecia

Faustyna, panna służąca mojej matki.

— I wszystkie trzy odprowadziłeś na cmentarz?

— Nie, jeszcze żyją.

— Twoja miłość jest trucizną powolną.

— Moja miłość to piorun, który uderza w samo serce. Moje spojrzenie — to

strzała. Słuchaj, Metku, tylko ty się nie zanadto bierz do Dzidzi, bobyś mógł

kiedy zlecieć z tych dywanami wysłanych schodów, popchnięty wprawną ręką lokai.

Jakżeby się oni byli śmieli, gdyby mię byli widzieli wobec Dzidzi!

Byłem tylko

maszyną, która się kłaniała przy wejściu i wyjściu, która siedziała wyprostowana

przez całą godzinę, cichym, nienaturalnym przez onieśmielenie głosem poprawiając

wymowę uczennicy, tłómacząc reguły gramatyczne.

Pani Pawężyna asystowała przy pierwszych lekcjach, potem przychodziła na chwilę,

zapytywała z uśmiechem o postępy, przeciągała białą nieźrównanych kształtów ręką

po włosach Dzidzi, za co córka płaciła spojrzeniami zachwytu i miłości, czyniła

jakaś uwagę nad sposobem, w jaki moja uczennica trzymała pióro, i zostawiała nas

samych.

Dzidzia była dla mnie dobra i uprzejma, nic więcej. Po przywitaniu czyniła mi

zwykle jakieś zapytanie, najprostsze, najzwyczajniejsze: "Dziś tak zimno... Pan

ma ciepłe mieszkanie?" albo: "Pan ma dużo pracy nad przedmiotami, wykładanemi w uni-

wersytecie?" Innym razem: "Co za okropny wypadek z tym biednym studentem z

matematycznego wydziału! Może go pan znał?"

Odpowiadałem jaknajkrócej prostem "tak" lub "nie, " jeżeli było można, i

conajprędzej rozkładałem książki. Dopiero po skończeniu lekcji, gdym wchodził na

moje schody, — a wydawały mi się one teraz zimne, brudne i niemiłe, znajdowałem

tysiąc odpowiedzi zręcznych, dowcipnych, delikatnie pochlebnych, prowadziłem z

Dzidzią całe rozmowy, w których rozwijałem erudycję, dar spostrzegawczy,

zręczność i śmiałość, miarkowaną grzecznością i szacunkiem.

Nie zapytywałem siebie, czy Dzidzia była ładną. Uważałem, że miewała śliczne

sukienki, że miała cudne dwa warkocze. Dopiero po uwagach nad nią Michasia i

Stefana dostrzegłem, że miała rysy, niedość regularne, i tę bladość, jaką się

widuje na licu dorastających panienek. Miała tylko jasne, niebieskie oczy, które

koledzy znaleźli też nieładnemi, ale które mnie się zawsze podobały.

Wyglądało z

nich coś takiego dobrego, coś takiego słodkiego! Ale może być, że nawet te oczy

nie były ładne dla tych, którzy ich nie kochali! Powtarzam jednak, że  
mnie ich  
spojrzenie głaskało po duszy wtedy jeszcze, gdym ani wiedział, że  
kocham  
Dzidzie, gdym jej może jeszcze rzeczywiście nie kochał.  
Stała tedy długo między nami ściana jakaś, urobiona z mojej  
nieśmiałości, ze  
zbytku, otaczającego Dzidzie, z wielkopańskiego tonu całego domu, z  
poważnych  
min lokai i protekcyjnalnych spojrzeń pani Pawężyny.

W końcu jednak ośmieliłem się postawić pierwsze zapytanie. Głos mi  
się trząśł,  
ale je postawiłem:  
— Pani lubi naukę? Roześmiała mi się w oczy.  
— Naukę czego?  
Widząc, że byłem zakłopotany, i że język wypowiadał mi  
posłuszeństwo, stała się  
nagle słodką i bardzo dobrą.  
— Lubię się uczyć, — rzekła z prostotą, — jeżeli głowa nie boli, i  
jeżeli  
nauczyciel lub nauczycielka nie są dla mnie niesprawiedliwi. Łamałem  
sobie głowę  
idąc na moje schody. Co miała znaczyć owa niesprawiedliwość  
nauczycieli? Czy ja  
przypadkiem nie byłem dla Dzidzi niesprawiedliwym? Może miałem  
pozór  
niesprawiedliwego nauczyciela? Spojrzałem w mój kawałek  
obłamanego lustra,  
śledząc na mojej twarzy wyrazu niesprawiedliwości. Wydało mi się,  
iż rzeczywiście  
miałem minę niesprawiedliwego nauczyciela, i byłem w rozpacz. Jak  
ja. jej  
dowiodę, że to jest pozór tylko... pozór mylny, jak często pozory.  
Chodziłem

niespokojny, bo zarówno niepokój, jak radość, udzielały się zwykle także nogom moim. Postanowiłem dać jej dowód wyraźny mojej sprawiedliwości. Ale co zrobić? W końcu wymyśliłem, że dam jej na lekcję do przetłómaczenia następujące zdania:  
"Wyraz niesprawiedliwości w twarzy niezawsze wypływa z niesprawiedliwości uczuć, a pozory często mylą. Trzeba się starać dobrze poznać człowieka, nim się o nim sąd wyda. Uczennice są często uprzedzone do swoich nauczycieli. " Natychmiast zdania te przełożyłem na język niemiecki, bo były za trudne, by je Dzidzia mogła z polskiego tłó-

maczyć. Wydało mi się tylko, że wyraz "uczennice" był zanadto przezroczystym, w niemieckim więc przekładzie przerobiłem go na wyraz "Schüler". Doznałem prawdziwej ulgi, zobaczywszy pięknie" czytelnie wykaligrafowane po niemiecku zdania, wyżej przytoczone. Miałyby kamienne serce, gdyby nie odczuła, do czego ja to stosowałem! "Lubię się uczyć, gdy mię głowa nie boli. " Dlaczego Dzidzie głowa bolała? Miała blednicę i mówiła mi, że brała pigułki z żelazem, rano zaś jeździła do hydropatycznego zakładu... Czyżby to była choroba, tak ciężka do uleczenia w jej wieku? Byłem poprostu osłem, że nie poszedł na medycynę! Co mi z tego głupiego prawa przyjść mogło, kiedy nawet nie wiedziałem, o ile blednica groźną jest dla panienki?... Ale może i dobrze, że nie poszedł,

bo cobym ja zrobił, gdyby mój mundur wydawał woń taką, jak mundur Michasia, i  
gdyby właśnie w tym stanie spotkała go propozycja chodzenia na pierwsze  
piętro... Postanowiłem pomówić z kolegami-medykami i zrećźnie  
wprowadzić rozmowę  
na blednicę i jej skutki.  
Zaraz pobiegłem do Michasia, bo każde postanowienie piekło mię, jak rozpalone  
żelazo, pókim go do skutku nie doprowadził. Zacząłem mówić o pogodzie... coś...  
tego... ale chodziłem niespokojnie, tak że Michaś zmiarkował od razu.  
— No, wypluń mi zaraz to, co żujesz! — zawołał.  
— Słuchaj, — rzekłem tragicznie, stając przed nim — czy blednica to bardzo  
niebezpieczna choroba?  
— Jest! Dzidzia ma blednicę!  
— Mój drogi, rzekłem z oburzeniem, — ty zawsze

z przymówkami!. Cóż mię Dzidzia obchodzi? Daję jej lekcyę, to jeszcze nie  
dowód... Ojciec mi pisze... moja siostra ma blednicę.  
Stała mi w tej chwili w oczach Zosia, moja siostra, mająca takie rumieńce, że  
krew tryskała z jej twarzy.  
— Aa... siostra? Myślałem... ja zawsze podejrzewam te siostry...  
— No, kiedy ci mówię!...  
— Napisz, żeby ją jaknajprędzej wydali za mąż.  
— Ma dopiero lat piętnaście... (Zosia miała ich dwadzieścia).  
— To nic... może być zupełnie dojrzała... sfałszować metrykę!  
— Dobryś!  
— Naturalnie. Metrykę pannie wydaje natura... czasem jest długo dzieckiem,  
czasem staje się wcześniej kobietą. Powtarzam: wypchnąć ją za mąż.  
Jak ja miałem Dzidzię wydać za mąż? Jużbym się był i sam poświęcił... Zdawałoby

się, że takie łatwe lekarstwo...

— A innego środka niema? — zapytałem z pełnym powagi spokojem, umiałem bowiem w potrzebie przybrać pozory spokoju.

— Jest żelazo... zimna woda... Połowa naszych panien ma lub miała blednicę...

Niema już zdrowych kobiet! Przyszła generacja...

Nie słyszałem, co dalej mówił. Widziałem, żeł ma w oczach wyraz reformatorski,

kaznodziejski, gdy wygłaszał największe niedorzeczności. Mówił więc sobie, a ja

myślałem namiętnie o sposobach ratowania Dzidzi. Postaram się być sprawiedliwym

nau-

czycielem, ale jak zrobić, żeby ja głowa nie bolała? Może te warkocze są za

ciężkie?... Taki wzrost nieprawidłowy włosów... Może być bardzo, że u łysych

powstaje pewna oszczędność sił żywotnych, które organizm spożytkować może w

innym kierunku...

— Prawda, — zapytałem, — że niepomierne rozwój niektórych części ciała musicie

odbywać kosztem innym... kosztem organizmu...

— O jakich częściach ciała mówisz? Czy o nosie Józia Piekarskiego?

Temu nos

rozwinął się kosztem piątej klepki...

— Proszę cię, bądź poważnym... ja mówię poważnie!

— No, i ja poważnie. Cóż się u twojej siostry rozwinęło tak niepomierne?

— Włosy. Powiadam ci, włosy nadzwyczajne...

— Koloru?

— Blond... między popielatym a złotym... jeden promień popielaty, drugi złoty...

— A co mówiłem, że Dzidzia! Obraziłem się na dobre.

— Z tobą nigdy porządnie porozmawiać niemożna, — zawołałem, —  
zawsze ci się  
głupstwa głowy trzymają... a że sam za lada spódnicą przepadasz, to  
ci się  
zdaje, że każdy taki.  
Rzuciłem za sobą drzwiami, wychodząc. Michaś wybiegł za mną i,  
przewiesiwszy się  
na baryerze schodów, począł wołać z góry:  
— Dzidzia! Dzidzia! Dzidzia!  
Byłbym go rozszarpał, żebym go był miał w ręku. Przez pół godziny  
myślałem o  
posłaniu mu sekundantów, ale mię powstrzymała myśl o skandalu.

Zarazby się dowiedziano, o co nam poszło, i jej imię włóczonoby po  
wszystkich  
dziurach studenckich!.. Co mu się ubrdalo z tą miłością? Bawiło mię,  
że daję  
lekcye pannie z dwoma takimi warkoczami, że w Kartadze zarazby  
to było na liny  
okrętowe poszło... bawiło mię, że przedemną, nie siedzi sztubak,  
gryzący  
zawalane atramentem paznogie, i nic więcej! Cóż mi tam pierwsza  
lepsza  
piętnastoletnia dziewczyna!.. A, prawda! Dzidzia któregoś dnia  
powiedziała mi w  
sekrete z palcem na ustach, że miała nie piętnaście, ale siedmnaście  
lat; a  
tylko: "mama powiada, że panny mają teraz tyle do uczenia się, a tak  
prędko  
ludzie okrzykują je staremi pannami, że rodzice muszą trochę lat  
córkom  
odkładać... ja zresztą podobno nie wyglądam na więcej, jak na  
piętnaście... Jak  
pan znajdujesz?"  
Czułem, że się okropnie zaczerwieniłem... Oczy mi, jak ołowiane,  
poleciały ku

ziemi na to zapytanie Dzidzi.

— Nie uważałem...

Ledwie tę niemądrą odpowiedź wyszeptał, już mię strach ogarnął.

Byłem naprawdę

niesprawiedliwym nauczycielem. Po kilkudziesięciu lekcjach

oświadczałem

wyraźnie, że nawet nie spostrzegł" jak moja uczennica wygląda. Ale ani rusz

wykrztusić coś takiego, co by ją mogło przebłagać".

— To niech pan spojrzy i zobaczy, — rzekła jak najnaturalniej

Dzidzia.

Ołów moich powiek stał się jeszcze cięższym. Podnieść je było mi niepodobieństwem.

Dzidzia śmiała się i rzekła po chwili, mozolnie szukając wyrazów:

— Majn lerer... nicht... kan zehen.

Miała lat siedemnaście... może więc tem bardziej wydanie jej zamąż było

potrzebne... Ale, że ja jej nie kochałem, to było więcej niż pewne...

Chodziło

mi o jej zdrowie z czystej miłości bliźniego... Możeby jednak dobrze było obciąć

prostu warkocze... Żeby to się mnie mógł dostać choć jeden

promyczek! Cóż mi z

tego mogło przyjść? To tylko kochankowie chowają włosy kochanek, a mnie Dzidzia

tyle była w głowie...

Pewnego dnia przekonałem się nagle, że ja kocham.

O godzinie piątej, jak zwykle, zadzwoniłem. Sprężyna odskoczyła...

Szedłem

spokojnie na schody, myśląc o jej zabawnym akcencie... Wychodzi naprzeciw mnie

lokaj i poważnie wygłasza:

— Jaśnie pani kazała panu powiedzieć, że dziś lekcji niebędzie.

Stałem osłupiały.

— Panna Jadwiga chora.



Patrzałem, nierozumiejąc, po chwili dopiero zdałem sobie sprawę...  
Panna Jadwiga  
— to "była Dzidzia! Dzidzia była chora! Krew uderzyła mi do głowy,  
potem zbiegła  
do serca; czułem, że jestem blady, jak chustka. Lokaj zamknął mi  
drzwi przed  
nosem; machinalnie zawróciłem ku schodom, lecz czułem, że się coś  
we mnie  
zmieniło, że wszedłem tu innym człowiekiem, a innym byłem teraz.  
Wielka boleść  
na wiadomość o jej chorobie oświeciła mi własne moje serce.  
Kochałem ją...  
kochałem Dzidzię!  
Potrzebowałem ukryć się gdzieś z moim bólem... z moją rozkoszą...  
bo i jedno, i  
drugie uczucie jedno-

częśnie rozsadzało mi piersi. Kochałem Dzidzię! Wbiegłem do mego  
pokoju,  
rzuciłem się na krzesło, głowę ukryłem w skrzyżowanych na stole  
rękach i  
powtarzałem w duszy: "Ja ja kocham... kocham ją!" Wszystko we  
mnie wołało:  
"kocham!" Chciałbym był krzyknąć to słowo gdzie w jakim lesie...  
wysokim,  
pięknym drzewom, rosnącym cicho zdala od miast i ludzi... Wśród  
gwaru  
miejskiego, głupich, bezmyślnych, stojących rzędem kamienic —  
uczucie moje  
zakrywało sobie oczy... wstydziło się... Potrzeba mu było wsi,  
zielonych łąk...  
Moja Dzidzia! Wyszeptałem te słowa z czułością najwyższą i  
przeląknęłem się. Jak  
ja śmiałem nazywać ją moją?... jak ja śmiałem?... Moją nazywa się  
ukochaną wtedy

tylko, gdy i ona kocha także... A Dzidzia mię nie kochała... Nie!  
takiego, jak  
ja niedźwiedzia... takiego nieśmiałego niezgrabę! "Majn lerer nicht  
kan zehen. "  
Ona mię miała za niedołęgę, nieumiejącego trzech zliczyć! Tak, ona  
mię kochać  
nie mogła, ale ja ją kochałem! Kochać — to dosyć!... nic więcej  
człowiekowi  
niepotrzeba! Kochać i patrzeć przez godzinę dziennie na ukochaną,  
słuchać jej  
głosu, mieć ją o trzy kroki od siebie... być od niej oddzielonym tylko  
szerokością dość wąskiego stołu... O! to na całe życie wystarczyć  
może, Potrzeba  
być głupcem, żeby czegoś więcej pragnąć! Jednego tylko żałowałem:  
żem nie mógł  
ukłęknać gdzie zdala od niej i tak na klęczkach na nią patrzeć...  
Kolana moje  
zginały się prawie. Klęcząc... niewidziany przez nią... gdzieś w cienia  
i  
patrzeć... patrzeć! Ale koniecznie niewidziany, bo inaczej nigdybym  
nie znalazł  
odwagi. Resztę dnia przebyłem w zachwycie, w tęsknocie, w oba-

wie o nią. W nocy napisałem mój pierwszy sonet dla niej...  
Deklamowałem go  
głośno. W jakimś gorączkowym podnieceniu stawałem się tak  
śmiałym, żem mówił  
niby do niej, patrząc w jej oczy:  
Burze życia szalały nad biedną mą głową,  
Miotając mną, jak łódką bez steru i wiosła,  
Dopiero postać twoja nadzieję przyniosła, Że dalsza przyszłość moja  
nie będzie  
jałową.

Tyś odtąd celem życia, nie jego połową,  
Tyś w duszę i myśl moją całkowicie wrosła,

Tyś w dni moich pustyni, jak palma wyniosła,  
Nie przedzą pragnień moich będziesz, lecz osnową.

A choć wyznać ci uczuć mych się nie ośmielę,  
Zniosę męki Tantała i szyderstwo ludzi,  
I, choćbym cierpiał godzin, dni i lat tak wiele,

Ile ich żyć mi dano, — nic mię nie ostudzi,  
I zawsze błogosławić będę cię, aniele,  
Za uczucie to, które tak słodko mię łudzi.

Nad rankiem zasnąłem. Przespałem pierwsze wykłady, na ostatni  
dopiero poszedłem.  
Koledzy, profesorowie, wszystko, co mnie otaczało, wydało mi się  
dnia tego  
jakiemś oddalonem, wyglądającym ku mnie z za jakiejś przepaści;  
nauka była bez  
znaczenia. Wymowę dla mnie miała tylko głębia mej własnej istoty.  
W tej głębi  
czułem, ale to wyraźnie czułem miłość, jakby wielkie słońce. Wobec  
jego światła  
w porównaniu z tem przeświadczeniem, że ja miałem moją  
tajemnicę... moją  
ukochaną, dla której nie spałem po raz pierwszy w życiu, choć sztaba  
mego łóżka  
tej nocy przecie twardszą nie była... że wśród gorączko-

wego podniecenia mówiłem głośno, patrząc jej prosto w oczy: aniele!  
jedyna!  
uwielbiona! na zawsze! na wieki jam twój! twój! rozkazuj, a w ogień  
pójdę,  
gwiazdy przeliczę, morze wypiję!  
Tak, moi panowie, ten student w wyszarzanym mundurze, siedzący  
wśród was, nie  
miał wcale wypisanem na czole, że przemarzył dzisiaj swoją pierwszą  
noc miłosną,

ale on to czuł w duszy. Oczy mu jeszcze przesłaniały widzenia cudne,  
zamykał  
powieki, by widzenie dłużej na źrenicach zatrzymać, usta mu jeszcze  
paliły słowa  
szalone, które wyrzekł po raz pierwszy w życiu! Tak. Nikt go tego nie  
nauczył,  
nikt mu tego nie podszeptał, a on ten język odrazu umiał doskonale i  
miał w  
sercu zasoby słów, jeszcze gorętszych, jeszcze piękniejszych!  
Pierwszy sonet mu  
się nie udał, był zazimny, zasztywny... ale on w swojej miłości  
znajduje takie  
natchnienie... Dopiero miłość czyni człowieka poetą! Biedacy! Wy  
gonicie za  
jakąś pierwszą lepszą, wczoraj inną, dziś inną... Wy nie wiecie, co  
znaczy  
słowo: "jedyna," a ja to już wiem, wiem! Jedyna! Bo ona jest i będzie  
moją  
jedyną! Czy jej kiedy wyznam uczucie moje, czy niewyznaną miłość  
poniosę do  
grobu, żadna inna kobieta... o! żadna. Żeby sama Fryne, sama  
Kleopatra, sama  
Helena trojańska do mnie ręce wyciągała!..  
Taką była mniej więcej treść ostatniego wykładu. To jest: może  
profesor mówił co  
innego, ale mnie pamięć przynosi tylko taką bezładną mieszankę  
wykrzykników i  
oderwanych myśli, szalejącą w mojej głowie.  
Leóś się od czasu do czasu na wykładach, jak meteor, pokazywał — z  
miną, która  
mówiła, iż wie-

dział, jaką profesorom, kolegom i murom uniwersyteckim łaskę  
czynił. Był dnia  
tego. Spotkałem go przy wyjściu. Chciałem uciec, uchyliwszy tylko  
czapki, ale

się zbliżył z protekcyjnym uśmiechem.

— Coż korepetycy kolegi?

— Idą, — odparłem.

— Bardzo tam zadowoleni z kolegi. Pani Helena powiedziała mi, że jesteś kolega

typem nauczyciela, dyskretnego i "bez konsekwencji." Będę dziś u Pawężów.

Odszedł, skinąwszy lekko głową.

On będzie dziś u Pawężów! Będzie tam, jako gość, i obracać się będzie wśród nich

swobodnie z tym swoim uśmiechem, wypływającym z pod ślicznie zarysowanego

wąsika! Będzie się czuł w swoim żywiole wśród wykwintnego towarzystwa.

Zazdrość zalała mi serce goryczą. Szczęśliwy Leoś! Szczęśliwy, że się wśród nich

urodził i wychował, że ma taką swobodną pewność siebie, szczęśliwy, że go natura

uczyniła wysmukłym i pięknym! Moje ramiona, zbyt podniesione, i plecy, nieco od

pracy nad książką wypukłe, doznały bolesnego wstydu przy tym prostym, jak

świeca, młodzieńcu. Mój mundur zużyty chciałby był się pod ziemię schować przy

tym eleganckim garniturze, prosto z pod igły pierwszego krawca wyszłym. Szedłem

o kilka kroków za Leosiem. Złość i gorycz czyniła moje ruchy twardymi i

gburowatymi, sam to czułem; uderzałem ostro obcasami w asfalt chodnika, gdy Leoś

płynąć się zdawał, i, nawet spojrzawszy na niego z tyłu, czuleś, że twarz jego

ma wyraz swobodny, że prześliczne, szafirowe oczy patrzą wesoło z po za długich

rzęs. Ach! ten jego ciemno-popielaty wąsik, po którym czasami  
przeciągał palcami  
swej wypieszczonej ręki! Zazdrościłem mu go w tej chwili tak  
szalenie, że sam  
siebie nie poznawał!  
Przyszedłszy do domu, odbyłem znowu konferencje z lustrem. Na  
wierzchniej wardze  
mojej sterczało kilka szorstkich szczecin. Chciałem zdać sobie  
dokładnie sprawę,  
jakim rzeczywiście byłem powierzchownie.  
No, pięknym nie byłem, — ale słyszałem, że piękność mężczyźnie  
niepotrzebna  
(żeby mi też Dzidzia powiedziała, co o tem myśli), że więc zupełnie  
niepotrzebna; ale Czy miałem twarz inteligentną, oryginalną, czy  
sympatyczną?  
Uśmiechałem się do lustra, marszczyłem brwi, przybierałem wyraz  
godności, wyraz  
uprzejmości...  
Wkońcu zdecydowałem, że, choć pięknym nie byłem, ale miałem  
powierzchowność  
inteligentną, oryginalną, sympatyczną.  
Włosy mi się kręciły na głowie w jakimś wirze, niemożliwym do  
umitygowania, i  
myślę, że w nich siedziała owa sprężystość mojej natury, tak łatwo  
powracającej  
do wesołości, tak chętnie kładącej różowe okulary. Nie miałem też nic  
do  
zarzucenia mojemu nosowi. Nie był wprawdzie tak delikatnie  
zarysowany, jak nos  
Leosia, ale był porządny, z jednej sztuki zrobiony, mający nawet  
pewien wyraz  
siły i dzielności. A że wiadomem jest, iż Panu Bogu najtrudniej jest  
zrobić  
udatny nos, więc udatność mojego była niemałym warunkiem.  
Wstałem od lustra,  
pocieszony nieco. Przecież i Dzidzia nie była piękna! To nawet było  
bardzo  
dobrze, iż nie była piękna. Nie wiem,

dłaczego, ale zdawało mi się, że to jest bardzo dobrze. Zresztą  
dlaczegoż się  
ludzie kochają? Ot poprostu jest dwoje takich, którzy sobie chodzą  
najspokojniej  
po świecie... czasem nawet nic o sobie nie wiedzą... brzydki czy  
piękni, —  
wszystko jedno. Chodzą sobie tedy i nagle się spotykają o takiej  
godzinie, o  
takiej minucie, o takiej sekundzie, w której miłość nagle stanie między  
nimi,  
jak księżyc między ziemią a słońcem w czasie zaćmienia. No, i  
następuje  
zaćmienie! Dla niego — zaćmienie wszystkiego, co nie jest nią... dla  
niej —  
wszystkiego tego, co nie jest nim. I tak miłość spaceruje sobie między  
ludźmi i  
czyha tylko na ową minutę, na ową sekundę... stanęła tak między mną,  
a Dzidzią,  
ale na mnie tylko wionęła oddechem... trysnęła mi w oczy  
promieniem swego  
spojrzenia!  
Poszedłem na obiad do pani Bulskiej, gdzie jadał też i Michaś, i  
Stefan, ale  
apetytu mego została tylko połowa. Z tej połowy ja jeszcze połowę  
umyślnie  
odjąłem. Jadłem półgębkiem, z niezrównaną rozkoszą, myśląc, że  
miłość zabierała  
mi nie tylko sen, ale także i apetyt. Boże, jak ja kochałem, kiedy nawet  
jeść nie  
mogłem! Jakżebym ja mógł jeść, kiedy ona tam leżała chora?...  
Siedziałem  
naprzeciw Michasia z wzrokiem, błędnie w dal patrzącym, ledwie  
dotykając  
bigosiku z jabłkami z wczorajszej baraniny, choć tę potrawę ogromnie  
lubiłem.

Moje ramiona uginały się pod brzemieniem tęsknoty. Czułem w sobie  
coś tak  
rozanielonego, coś tak rozmodlonego (o, miłość czyni człowieka  
poetą), jak gdyby  
moją szyję opasywał jeden z warkoczów Dzidzi... Koledzy moi śmieli  
się z  
jakiegoś konceptu, mnie uśmiech ledwie polechtał

usta w przelocie od Michasia do Stefana. Gdzież ja się śmiać mogłem,  
kiedy  
Dzidzia była między życiem a śmiercią!... Takem tragicznie określił  
moje i jej  
położenie i nagle poczułem, że moja twarz przybrała wyraz rozpaczny.  
— Chory jesteś czy co? — zawołał Michaś. Za całą odpowiedź  
uśmiechnąłem się  
boleśnie z bezbrzeżną tęsknotą, choć w duszy czułem radość, iż  
zauważono mój  
stan wyjątkowy. W głębi serca tałem i miłość moją, i obawy o jej  
zdrowie, ale  
uczucia te były zbyt potężne, by nie miały odbić się na mojej twarzy!  
Tak,  
musiano je zauważyć, tylko przypisywano chorobie to, co było  
najszczytniejszym  
dowodem zdrowia i pełnego rozkwitu mojej młodości.  
— Coś mu naprawdę jest, — rzekł z pewnym niepokojem Stefan. —  
Kiedy już Metek  
stracił apetyt, to źle! Musiały to sprawić łyzy pani Bulskiej... Podobno  
odprawiła nowennę do św. Antoniego dla uproszenia zmniejszenia się  
apetytu  
Metka. Święty Antoni był anachoretą, żył podobno rzepą czy  
rzodkwią, którą tylko  
w dzień niedzielny przyprawiał oliwą... Dlatego, gdy chodzi o  
oszczędność mięsa,  
do niego zwracają się te nieszczęśliwe, co stołują studentów.  
— Ja się boję, — zawołał Michaś, — że ten wielki Święty, biorąc  
Metka w opiekę,



zesłał mu nietylko swój wstręt do mięsa, ale i pokusy straszne, które  
go  
trapiły... Wiecie, co szatan z nim wyprawiał? Przebierał się czasem za  
piękną  
kobietę i wślizgiwał się pod matę, którą św. Antoni okrywał swój  
barłóg. Czy się  
czasem coś podobnego Metkowi nie przytrafiło?

Zaczerwieniłem się z oburzenia. Oni śmieli przypuszczać, że ja dla  
innej  
kobiety, niż Dzidzia...  
— Dla was nic niema świętego! — zawołałem, — jesteście bez krwi,  
bez ducha!...  
Wszystko jest wam tylko powodem do żartów... z każdego uczucia  
gotowicie stroić  
drwiny!...  
Porwałem za czapkę, płaszcz zarzuciłem na jedno ramię i wybiegłem.  
Nim zdołałem  
drzwi zamknąć usłyszałem Michasia, mówiącego poważnie:  
— Może on naprawdę chory?... Melancholia go się czepia czy co?  
Gotów polecieć do  
Wisły!... Przecie Kazimierz Budzki też tak, ni z tego, ni z owego...  
Słyszałem potem wciąż kroki za sobą i jakieś szepty. Nie oglądałem  
się, byłem  
pewien, że Michaś i Stefan mnie śledzą.  
Do Wisły? Aha, zaraz! Żeby mi kto inny porwał moje lekcye z  
Dzidzią! Te kroki i  
szepty za mną cieszyły mię. Przecież to nie mała rzecz — mieć minę  
samobójcy!  
Więc ja tak kochałem, że miłość zupełnie mię odmieniła... koledzy  
poznać mię nie  
mogli... pani Bulska też poznać mię nie mogła, choć nigdy nie  
patrzała na moją  
twarz, tylko na mój talerz... Umyślnie szedłem zamaszystym krokiem  
człowieka,

pchanego przez rozpacz... Głowę zwiesiłem na piersi... Doprawdy  
musiałem  
wyglądać na wcale przyzwoitego samobójcę! Ta myśl wprawiała mnie  
w zachwyty!...  
Cóż kiedym wszystko popsuł wkońcu! Naleciało to na mnie tak nagle,  
żem się ani  
opatrzył, że z dramatu zrobiłem najgłupszą komedię. Wpadłem do  
bramy, schowałem  
się i, kiedym przez szparę spostrzegł, że moi koledzy zrównali się ze  
drzwiami,  
wyskoczy-

łem na nich, jak sztubak, i roześmiałem się na całe gardło.  
— Jaka była legumina u pani Bulskiej — zawołałem, — aha,  
poświęciliście  
leguminę!.. woleliście circenses, niż panem!... Jeżeli odbiorę sobie  
życie, to  
nie przez wskoczenie w nurty Wisły, ale strzałem z rewolweru. To  
śmierć, więcej  
bohaterska!... Topią się tylko stare baby, szczenięta i zawiązani w  
worek  
kochankowie sułtanek!  
— To wszystko dobrze, — rzekł Michaś poważnie, — ale dlaczegożes  
nie jadł?  
Ach, głupiec, głupiec ze mnie! wszystkom popsuł tym dziecinnym  
figlem! Już mi  
nawet mój brak apetytu za nic policzonym został. Ona tam walczy z  
choroba, a ja  
w jej bramie płatam figle kolegom.  
Wchodziłem na schody mojego mieszkania, jak starzec, wlokąc nogi.  
O, ja byłem  
zupełnie inny, zupełnie przetworzony przez miłość!... Czy ja dawniej  
tak  
wchodziłem na schody? Przeskakiwałem je po dwa, po trzy... a teraz!  
Ten figiel,

ja go sobie tłumaczyłem... To był odruch automatyczny mojej  
wyobraźni. Żaba bez  
głowy ściera z grzbietu łapką... Ja tak samo. Miłość przeniknęła mię  
całego...  
głowę, serce, — wszystko jej oddałem, ale w jednej komórce  
mózgowej na własną  
rękę, niezależnie od moich uczuć, powstał projekt niemądrego żartu...  
Ta komórka  
mózgowa na mgnienie oka objęła władzę nad całym organizmem... To  
jest teoria,  
tłumaczącą nagłe wybryki ludzi szanownych, po których niktby się  
nie spodziewał,  
że naprzykład, okradłszy kasę, umkną do Ameryki...

Drżałem, jak liść, zadzwoniwszy do mieszkania państwa Pawężów.  
Widziałem już  
poważne usta lokaja, układające się do wymówienia: "panna Jadwiga  
chora. "  
Rzuciłem mu błagalne spojrzenie, gdym go ujrział, stojącego jak  
posąg, w  
otwartych drzwiach. Nie wyrzekł ani słowa. Zamknął za mną drzwi...  
Więc nie była  
chora? Więc ją zobaczę?...  
Nieśmiało dążyłem ku gabinetowi pana; na moje spotkanie wyszła  
pani domu. Jej  
obecność związywała mię zawsze jakiemiś moralnymi powrozami, w  
których się  
szamotałem, a pozbyć się ich nie mogłem.  
— Moja córka chora — rzekła skinąwszy mi głową uprzejmie — ale  
nie chce darować  
lekcyi dzisiejszej... Zachcianka chorego dziecka... Myślę, że jej mniej  
zaszkodzi małe natężenie uwagi, niż sprzeciwienie się jej żądaniu.  
Przeczytaj  
jej pan co łatwego... opowiedz jej pan co... coś wesołego... Niech jej  
się  
zdaje, że się uczy... Rozumiesz mię pan?

Czy ja ją rozumiałem? Przez moją głowę przemknęły tysiące obrazów, w których chorej dziewczycy, kochanek u jej nóg siedzący, słodko przygrywał na lirze... lub kołysał ją do marzeń, deklamując przyciszonym głosem to, co najpiękniejszego wymyśliła ludzka, poetyczna wyobraźnia... albo śpiewał jej piosnkę tęskną, rzewną... albo po prostu patrzył w jej oczy z wymową, w której zamykały się wszystkie wyznania, wszystkie nadzieje, wszystkie serca porywy, — cała namiętna, wzniosła a rozmarzona modlitwa duszy! Stanał mi w myśli Herkules przedający... Samson, spuszcający z uśmiechem miłosnego omdlewania głowę pod nożyce Dalili... Co za rozkosz być

silnym, jak lew, a czuć się słabym, jak pajęczyna, w rękę wątłej kobiety!... I co za piękna rzecz — chora dziewczyna!... blada, chwiejąca się, z oczami, jakby w lepszy świat zapatrzonemi... szczególnie chora na suchoty. Jak słodko musi być kochankowi dziewczycę taką pielęgnować... nosić na rękę... studzić jej rozpalone dłonie, pieścić je w swoich rękach, pijąc z nich ustami żar gorączki, suchość ich zwilżając łzami... Odczuwać kaszel jej we własnych piersiach... śledzić postępy strasznej choroby na licu ukochanej... być wiernym towarzyszem jej nocy bezsennych... siostrą miłosierdzia przy jej łożu... osłoda chwil ostatnich... Zamknąć jej oczy, przyjąć ostatnie tchnienie, a potem codziennie na jej kurhanku

składać świeże kwiaty!

Może Dzidzia miała suchoty? Właściem sobie zadawał to pytanie, chodząc po gabinecie pana Pawęzy, gdy usłyszałem powolne kroki, szelest sukien kobiecych...

Weszła pani Pawężyna, prowadząc wspierającą się na jej ramieniu córkę.

Dzidzia była jeszcze bledszą niż zwykle. Czułem to, gdyż spojrzeć na nią

wyraźnie nie śmiałem. Przypomniałem sobie, że ja ją w moim sonecie poprostu

"ty" nazywałem, i struchlałem.

— Prowadzę to moje biedactwo... to moje blade... to moje kochane...

Położ się tu

na szezlongu. Ot tak! Czekaj, przyniosę szal do okrycia ci nóg.

Znalazłem się sam naprzeciw ułożonej przez matkę Dzidzi. Warkocze jej, opadające

z szezlongu, leżały na ziemi, i mój spuszczone wzrok padał na tewarkocze. W

duszy (ale tylko w głębi duszy) ukląknęłam, schyliłam twarz aż do ziemi, jak

czynią cza-

sem wierni w kościele, i ustami przypilem się do końca jednego z jej warkoczy.

Szczęśliwa dusza, że ona sobie na takie poufałości pozwalała! Ciało moje stało,

jakgdyby je kto na kołek nadział. Nienawidziłam siebie w tej chwili.

— Niech pan siada, — rzekła słabym głosem Dzidzia.

Miała w tej chwili rzeczywiście głos, godny suchotnicy.

Usiadłam.

— Nie będę mogła pisać dzisiaj... ręka by mi się trzęsła. Pan będziesz czytał, a

ja będę tłumaczyła.

Rzuciłam się na książkę, jak człowiek rzuca się na gałąź, ratującą go z toni.

Przerzucałem stronice, szukając w myśli słowa, którebym mógł  
wymówić w tej  
chwili. Takiego nie znalazłem w mej pamięci. Wyratowała mnie pani  
Pawężyna,  
wchodząca z szalem w rękę.  
Poczęła otulać nogi Dzidzi, uklękła, by to lepiej uczynić, a patrzyła na  
córkę z  
miłością o sile... nie wiem już, ilu koni parowych. Dzidzia zarzuciła  
matce rękę  
na szyję, przytuliła się do niej, głaskała po twarzy i (rzecz dziwna i  
śmieszna)  
poczęła do matki mówić pieszczotliwie, jak się mówi do małych  
dzieci: "Moja  
matiula, moja śliczna... moja jedyna!"  
Mówiła szeptem namiętnym i tak się w objęciach matki tuliła, że mi  
się aż  
niedobrze robiło.  
— Dostyc, Dzidziuś moja... dostyc! Pan się będzie śmiał z nas...  
Pani Pawężyna odjęła opasujące szyję ręce i z uśmiechem zwróciła się  
do mnie:

— To takie było biedactwo, takie wątle maleństwo, gdy przyszło na  
świat, że to  
musiała rozpieścić.  
— Wiesz pan, — rzekła Dzidzia, — przez trzy miesiące podobno  
leżałam w wacie,  
obłożona na wszystkie strony bańkami z gorącą wodą... Potem odjęli  
te przybory,  
ale byłabym umarła, gdyby mi zamiast waty i baniek nie byli dali  
pieszczot i  
pocałunków, gdyby moje oczy nie patrzyły ciągle na moją  
prześliczną, na moją  
cudowną, na moją najpiękniejszą, na moją, anielską...  
Pani Pawężyna zakryła jej usta ręką.  
— I teraz tak samobym umarła, gdybym...

— Moje kochanie... w twoim wieku się nieumiera... nie mówże nedorzeczności...  
aż przykro słuchać. I czas tracicie; pan czeka i nudzi się...  
Trzeba być matką czyli osobą" zupełnie przez macierzyństwo z domyślności odartą,  
żeby podobne głupstwo powiedzieć! Ja miałbym się nudzić wobec Dzidzi? Ale matki,  
gdy je raz otoczą pieluchy, poduszki, śliniaczki, kaszki z mlekiem, powijaki,  
niańki, kołyski, — wszystkie te rzeczy, nie wydające woni fiołków, matki, mówię,  
tracą, zupełnie zmysł innych miłości. Zdaje im się, że jest na świecie, że  
światem rządzi tylko miłość macierzyńska. Tak się w niej zasklepią, że  
przypuszczają, naprzykład, iż student drugiego kursu prawa, mający inteligentną,  
sympatyczną i oryginalną powierzchowność, może się nudzić wobec warkoczów  
dziewczyny, spadających z szezlonga aż na samą, ziemię. Powtarzam, na to trzeba  
być matką!

Pani Pawężyna siedziała przez całą lekcję, którą starałem się uczynić jaknajprzystępniejszą. Zapytywałem i sam sobie na zapytania odpowiadałem,  
czytałem trochę, tłómacząc na polski. Godzina przeszła, jak mgnienie oka. Wkońcu  
zebrałem wszystkie siły i zapytałem:  
— Czy nie zmęczyłem pani?  
— Szkoda, że się godzina skończyła, — rzekła Dzidzia, — pan bardzo dobrze  
czytasz głośno, i ja już zaczynam rozumieć prawie wszystko.  
Ukloniłem się i wyszedłem, choć byłbym dał dziesięć lat mojego życia za to, bym

mógł wypowiedzieć to, co wielkim krzykiem rozlegało się w mojej duszy, żebym, stanąwszy przed Dzidzią, mógł być wyrzec: — Jeżeli pani pozwoli, chętnie poczytam jeszcze. Mam dużo zbywającego czasu... Może pani każe przeczytać co sobie po polsku? "O, że jutro to powiem!" — powtarzałem sobie w duchu, przeskakując po trzy naraz schody. — "Gdyby tam, nie wiem, co, powiem!" Pan bardzo dobrze czytasz głośno. Moja jedyna, moja uwielbiona!... ona się poznała na mojem głośnem czytaniu! Potem ostrym pazurem drapnęła mnie po sercu myśl o jej pieśczołach dla matki, a wspomnienie matki, na klęczkach okrywającej ją szaleni, po prostu przejmowało mię oburzeniem. Czyż to jest rola matki otulać nogi chorej dziewczicy? Czyż to nie jest rola kochanka? Czyż matki niedosyć mają dzieci w pieluchach, a potem w krótkich sukienkach? Czas na kochanka i tak jest krótki... między włożeniem długiej sukni a pójściem za mąż... Niedziw, że ko-

biety zamężne chcą sobie niekiedy tę krótkość czasu wynagrodzić, bo już mąż to wcale co innego... To coś takiego niepoetycznego, zimnego, zmateryalizowanego... coś, co już ani cieszy, ani bawi... co trzyma anielską duszę kobiety przy ziemi... okutą w kajdany obowiązku... Samo brzmienie wyrazów: mąż, kochanek, już zaznacza całe niebo, jakie dzieli te dwa pojęcia. Język ma ducha, stającego się często żywym ciałem przez harmonię naśladowczą. Dość jest wymówić te dwa wyrazy:



mąż, kochanek... Pierwszy jest twardy, chropowaty, zmusza usta do surowego wyłączenia się przy wymówieniu, nasuwa takie rymy: jak: wąż; drugi jest słodki jak pieszczota wiosennego wiatru, jak zapach kwiatów; usta przy wymówieniu rozchyła jakby tchnieniem miłości i przywodzi na myśl takie rymy, jak: poranek, baranek... Że powiem, to powiem! Pomimo że to postanowienie bezustanku wzmacniał w sobie, nie powiedziałem nic. Siedziałem, jak mumia, naprzeciw Dzidzi, leżącej na szezlongu, i jej matki, nieodstępującej chorego dziecka. Nie pomogło mi nawet wyjście tej ostatniej. Pod koniec lekcji lokaj wszedł cicho, i za uchem moim usłyszałem:

— Pan Leon Kобрzycki zapytuje, czy jaśnie pani go przyjmie.  
— Prosić! — odrzekła pani, wstając z tą jakąś powłóczyłą gracyą, z tem jakimś owiewającym ją "od niechcenia, " które w niej zauważyłem od pierwszego poznania. Czytałem i tłumaczyłem dalej, ale myśl, że jestem z nią sam na sam, to wielkim krzykiem odzywała się we mnie, to dygotała cicho przy moim ser-

cu, napełniając je niewysłowionem rozrzewnieniem. Sam na sam! Pierwsze "sam na sam, " odkąd wiem, że ją kocham! Głos mój w czytaniu stawał się miękkim pomimo mojej woli. Pływały w nim fale roztkliwienia, był jakby zwilżony łzami. Usta wymawiały słowa jakiejś niedorzecznej, dziecinnej bajki, lecz byłem od niej myślą o sto mil. Czułem, że

serce rozplywa się we mnie, jak masło wystawione na skwar  
słoneczny. Wkońcu  
prześląknęło mnie całego, że stałem się jakby rozmoczonym, jakby  
bez kości...  
Wtedy z za mgły, osłaniającej moje oczy, bezsilny nawet w mojej  
nieśmiałości,  
podniosłem wzrok na Dzidzię... Oczy same pobiegły ku niej bez mojej  
wiedzy... Na  
środku drogi spotkały jej spojrzenie... O, co to była za chwila! Jakby  
pałką w  
samo ciemność i w samo serce! Zamroczyło mnie wyraźnie! Już od  
chwili pokochania  
jej czułem jakąś pętlę na szyi... Pętla zacisnęła się mocniej, i wyraz  
"entzückt" zamarł mi na wargach. Zamierając, całą krew z ust moich  
wypił. Czułem  
się bladym, jak prześcieradło.  
— Co panu jest? — zawołała Dzidzia, zrywając się z szezlongu.  
— Nic, nic...  
— Panu niedobrze!  
Chwytałem myśli rozpierzchłe. Wszystkie te, co miały cień  
sensowności, uciekły,  
jakby je kto gonił, ta zaś, która się złapać dała, była  
najnieszczęśliwsza...  
kulawa, ślepa... Nie wiem, z kąd naleciały na mnie w owej chwili  
głodowe  
reminiscencye... Czy dlatego, że, cierpiąc rozkosznie, przypominałem  
sobie  
jedyne cierpienie, jakiego doznałem dotąd w życiu, — głód?

— To nic... to nic, — szeptałem, — to z głodu...  
— Z głodu? — zawołała Dzidzia, — pan mdlejesz z głodu? O, mój  
Boże! czemużeś pan  
nie powiedział? To tak łatwo zaradzić!  
— Nie, nie, — mówiłem, już zupełnie przytomny i z całą  
świadomością popełnionej

niedorzeczności, — sam nie wiem, co plotę... Zupełnie nie jestem  
głodny... nie  
wiem z kąd mi się wzięło... niech się pani zmiłuje i zapomni o tem,  
com  
powiedział... Gdzieżbym ja mógł być głodny?... Toby było z mojej  
strony... nie  
jestem takim materyalistą... gdybym był głodny, byłbym ostatnim z  
ludzi!...  
— Boję się tu pana zostawić samego... mógłbyś pan zemdleć...  
Zadzwoń i każę  
przynieść...  
Rzuciłem się na taśmę dzwonka.  
— Nie, pani... na miłość Boską... pani mnie ma za takiego gbura...  
nicbym do ust  
nie wziął... Niech pani ma litość nademną i nikomu nie mówi...  
— Dobrze, czytamy dalej... Choć być głodnym nie przynosi wstydu...  
Zarzuć mi  
pan ten szal na nogi... Zmęczyłam się, jakby się mnie było zrobiło  
niedobrze,  
nie panu.  
O, z jaką rozkoszą byłbym jej nóżęta otulił tak szalem, jak to czyniła  
matka! Z  
jaką rozkoszą byłbym je ogrzał mojem tchnieniem! Było to mojem  
marzeniem, nie  
uczyniłem jednak ani jednego ani drugiego. Jak automat, rozpostarłem  
szal i  
spuściłem go zgóry na jej stópki, jakgdyby to były nogi Michasia lub  
Stefana,  
nie w cudne, malutkie pantofelki obute, lecz w obrzydliwe, twarde,  
cuchnące  
szuwaksem i czerniące męzkie buciska. W sercu był żar, a rę-

ce miałem sztywne, jakgdybym wracał prosto z wyprawy do bieguna.  
Weszła pani Pawężyna.

— Czy moja Dzidzius wstawiała?... nogi niedobrze otulone... Lekcja  
cię nie

zmęczyła?... godzina już przeszła... podają obiad... Leosia  
Kobrzyckiego  
zatrzymaliśmy. Przyjdiesz do stołu?  
— Nie, munieczku, — mówiła Dzidzia głosem rozpieszczonego  
dziecka, — nie  
przyjdę. Będę jeść obiad, jak jaki Katyliną lub Cyncero. Munieczku, ja  
pana  
Brzelskiego zaprosiłam tu sobie na towarzysza obiadu... tak we dwoje  
przy tym  
stoliczku... Tylko niech munieczka nic nie mówi, nie sprzeciwia się...  
moja  
jedyna, moja śliczna!...  
Pani Pawężyna patrzyła zdumiona.  
— Moja Dzidziuś... co za zachcianka? Leosia umyślnie zatrzymałam,  
żeby cię  
trochę rozerwał... Zaprosiłaś pana Brzelskiego na obiad? To bardzo  
dobrze. Każę  
nakryć na jedną osobę więcej... przyjdziecie do stołu...  
— Kiedy ja, — ozwał się, — nie jestem ubrany.... niewłaściwy  
strój...  
Wskazywałem na mój mundur z miną człowieka, który ma we własnej  
szafie kilka  
własnych garniturów, dobijających się o zaszczyt okrywania jego  
członków. Gumowy  
kołnierzyk spiętrzył się dumnie na mojej szyi, jakgdyby był  
płóciennym.  
— Nie, munieczku! Ja tylko tu mogę mieć apetyt... ja Leosia  
niecierpię... On się  
ma za pięknego, jak lalka w wystawie sklepowej... i pan Brzelski  
wcale nieubrany  
na obiad proszony.  
— Wszak pan Brzelski mieszka w tym samym

domu? Pójdzie na chwilę do siebie i przebierze się. Mężczyźni umieją  
się  
przebrać tak prędko!

— To ja nie tknę niczego! — zawołała Dzidzia, — mnie przy stole  
obiad wcale nie  
będzie smakował.  
Całowała matkę, przytuliła się do niej i znowu pieszczotliwie:  
— Moja piękniusi... moja dobruś!...  
— Cóż mam z nią zrobić? — rzekła, uśmiechając się i zwracając do  
mnie pani  
Pawężyna, — trzeba temu dogadzać, póki to chore...  
— Moja munieczko! — zawołała Dzidzia z entuzjazmem, — takiej  
dobrej, takiej  
kochanej, takiej złotej munieczki to nikt niema! Jednego żałuję, że ja  
munieczki  
wziąć na ręce nie mogę! Nie umrę spokojnie, póki tyle sił nie nabiorę,  
żeby  
mogła tak nosić munięzkę, jak dziecko!... Tylko nam proszę tu dobre  
porcye  
obiadu przysyłać, bo jesteśmy głodni, jak dwa wilki... jak dwa  
szakale!... Śmiała  
się uradowana. Dwa lekkie rumieńce wystąpiły na jej policzki.  
— Tylko ty mi bądź rumiana, Dzidziuś, to ci pozwolę jadać obiad na  
dachu, jeżeli  
zechcesz.  
— Na dachu?... możeby to i niezły pomysł! — rzekła Dzidzia.  
Chciałem zawołać, że ja po rumieńce dla niej pójdę do piekła, ale  
odłożyłem to  
na inny raz.  
— Każę tu nakryć, — ozwała się pani. — Ojciec niebardzo lubi takie  
inwazyje w  
swoim gabinecie, ale Dzidzi wszystko wolno...  
Wyszła. Zostaliśmy znowu sami.  
— Mnie rzeczywiście wszystko wolno, — mówiła Dzidzia. —  
Rodzicom zdaje się w  
każdej chwili, że ja tylko co śmierci wydartą zostałam... Moje sio-

stry, dlatego że zdrowe i rumiane, trzymane są surowo... Byłam  
podobno taka, jak

mały palec, przyszedłszy na świat... Nazwali mnie Dzidzią, to jest:  
czemś  
malusieńkiem... Ale niech pan nie myśli... Ja już wyszłam na całkiem  
porządną  
osobę, gdy jestem zdrowa; tylko, gdym chora, rodzice przestają  
widzieć, żem już  
większa, niż mały palec... I pan musisz być bardzo posłuszny... gdym  
chora,  
nikomu przy mnie niewolno mówić "nie."  
Dopierom sobie w tej chwili przypomniał, żem ja, niewiadomo, jak, i  
niewiadomo,  
dlaczego, przystawał na ten obiad, jedzony we dwoje, przez sam fakt,  
żem się  
projektowi nie opierał. Czy to wypadło tak z nią zostać... jeść przy  
jednym  
stoliku?  
— Kiedy ja już jeden obiad... doprawdy nie będę mógł...  
— Pan mówisz "nie?" Tylko co powiedziałam, że tego niewolno! Czy  
tego warunku  
nie postawiono panu przy umowie o lekcye? Może pan masz  
despotyczny charakter i  
takiej umowy byś pannie przyjął? Ciekawam, jaki pan masz  
charakter?...  
Patrzała na mnie, jakby mój charakter z twarzy mi wyczytać chciała.  
Byłem  
zmieszany, jak dzieciak z wstępnej klasy.  
— Wiem! Pan jesteś poważny i zwykle smutny... dziewcząt  
siedemnastoletnich...  
przepraszani, munieczku, piętnastoletnich, pan nie uznajesz za godne  
swej  
rozmowy... myślisz pan ze strachem o konieczności spożycia obiadu  
sam na sam z  
jednym z tych stworzeń mizernych.  
— O, pani!  
— Tak, pan się masz za nieskończenie wyższego...

Spojrzałem na nią z takim błaganiem, z taką pokorą, z takim  
łkaniem duszy, że  
zamilkła i zmieszała się trochę.

— Więc czemuż pan tak milczysz zawsze?

— Bo nie umiem... nie umiem mówić... nie mogę...

— Leos Kobrażycki mówi, że jest kolegą pana, niech się pan od niego  
mówić nauczy.

A, nie, nie! Niech się pan nie uczy!

— Pani Leosia...

Miałem nadzieję, iż mi powtórzy, że go nie lubi, i nie zawiodłem się.

— Taki z niego pyszałek, zarozumialec!

— Jest bardzo piękny, — rzekłem nieśmiało.

— To już jego rzecz, — zawołała Dzidzia, — i jego nieszczęście. On  
cały czas o

tem tylko myśli, że jest piękny. Można pokochać brzydotę, patrząc na  
niego!

Wniesiono nakrycie na dwie osoby; nasz stoliczek przywdział białą  
szatę, jak

panna młoda. Dzidzia dyrygowała; kazała postawić bukiet na środku.  
Przeklinałem

go potem przez cały obiad, bo była w nim jakaś róża, która mię  
prześladowała. Co

chcę podnieść oczy na Dzidzię, to dojdą one do wysokości tej róży i  
ani rusz

dalej! Kilkanaście razy próbowałem spojrzeć na pannę, a utkwiłem  
zawsze wzrok w

róży. Od tej chwili znienawidziłem to plemię (różane, nie panięskie).

Dzidzia nalewała z wazy zupę — mnie aż po brzegi talerza, sobie  
odrobinę... I

pilnowała, żebym zjadł wszystko. Żadne poświęcenie dla niej nie było  
nad moje

siły... z pieczonym wołem byłbym się załatwił, gdyby tego żądała.

Dokładała mi

wszystkie-

go, zachęcała, bym jadł, i, choć na nią nie patrzałem, czułem, że była

uszcęśliwiona z mojego apetytu. Oddał mi on dnia tego prawdziwą  
usługę. Jadłem  
sumiennie, bom nie wiedział, co z sobą począć, pod wzrokiem mojej  
gospodyni.  
Miłość darła mi serce w szmaty, a ja gryzłem i gryzłem, łykałem i  
łykałem  
potrawy, jedno po drugich, piłem wino, piwo, — wszystko z powodu  
nieszczęsnej  
nieśmiałości, która mnie przygniatała. Wkońcu czułem, że  
popuszczanie pasa  
naszych pradziadów miało swoją rację bytu, ale Dzidzia była  
nienasycona widoku  
mego żarłocstwa... Klaskała w ręce, widząc, jakie porcyce znikają  
zprzedemnie;  
wkońcu zawołała:  
— Patrząc na pana, zapomniałam zupełnie o bólu głowy! Zdrowo jest  
przyjrzyć się  
nasyceciu się człowieka głodnego... (z widocznym rozrzewnieniem i  
łzami w  
głosie: ), bo pan byłeś głodny... pan nie jadłeś dziś obiadu... może i  
wczoraj  
nie?... Ach, jaki z pana niedobry człowiek!... jak można było nie  
powiedzieć  
swojej uczennicy... poprostu dwa słowa: jestem głodny! To taka  
przyjemność oddać  
przysługę! Powtarzam panu, że się czuję zdrowszą i silniejszą na  
myśl, że pan  
wyjdiesz ztąd nasycony! Być młodym, zdrowym, barczystym, jak  
pan ( z podziwem i  
uznaniem: ), mieć taki apetyt, i być bez obiadu to musi być męka!  
Weszła matka; skorzystałem z tego, żeby się pożegnać, choć byłbym  
oddął  
najzdrowszy ząb trzonowy, żeby zostać dłużej. Wyszedłem i, ledwie  
był za  
drzwiami, usłyszałem anielski głos Dzidzi:  
— Mamo on był głodny... on dziś nie jadł obiadu! A, rozumiem, —  
odparł głos  
matki, — chcia-



łaś mu delikatnie ofiarować obiad... Gdyby on był inny, tobym była na posiedzenie we dwoje nie pozwoliła, ale ten nie jest niebezpieczny... słowa z

niego wyciągnąć niemożna...

Zaszumiało mi w uszach, krew mi do głowy młotem uderzyła, zraniona miłość własna

zapuciła mi szpony w piersi... O mało nie krzyknąłem z bólu.

Tak, ze mną można było śmiało zostawić dziewczynę-patrycyuszkę!

Com ja dla niej

mógł znaczyć, ja, syn ubogiego dzierzawcy, ubrany w wyszarzane odzienie, bez

ogłady salonowej, bez śmiałości, nabytej w towarzystwie kobiecem...

Ja, biedny

szlachetką, byłem niczem dla tej z Czarnozorów!... Ale strzeż się pani!

Nie wiedziałem dokładnie, czego się miała strzedz, ale jakieś mirażę krwi,

sztyletów, stryczków, gilotyn, rewolucyjnych trybunałów, przeleciały mi przez

głowę. Pięść podnosiłem do góry. O, ci panowie... ta niebieska krew... te

senatorskie rody... te herby, dostatki, bogactwa!... Spuściłem pięść, niby

gniotąc nią to wszystko. Uderzyłem się tak silnie o poręcz schodów, że ażem

jęknął. To mię otrzeźwiło, ale wkrótce powróciłem znowu do uczuć nienawiści.

Wszystkie krańcowe wykrzykniki kolegów, należących do skrajnych obozów, stały

się nagle, jak but do nogi, przykrojone do moich przekonań. Nie, społeczeństwo

nie mogło dalej istnieć na dawnych zasadach, trzeba było oczyścić drogi...

asenizować powietrze... Byłem przez jakie pół godziny wściekłym rewolucjonistą,

ale przypomniałem sobie, że kochałem Dzidzię, i fale wzburzonego  
umysłu opadły i  
ucichły nagle, jak fale morskie, gdy na nie naleją oliwy. Za to, że  
kasta ta

wydała Dzidzię, przebaczyłem kaście. Przebacząc, wyciągnąłem  
rękę, jakby u  
stóp moich klęczał tłum bogaczy i senatorskich potomków, i  
jakgdybym ja  
obiecował im wspaniałomyślne zapomnienie przeszłości.  
Przebaczyłem i pani z  
Czarnozorów za to, że Dzidzię moją, malutką, jak mały palec,  
chowała w wacie...  
wygrzewała sztucznie... Co jabym zrobił, gdyby Dzidzia była umarła?  
Tego wieczora, choć miałem pójść na zebranie studenckie, nie  
poszedłem, tylko  
napisałem sonet: Do umarłej kochanki. Potem znowu przypomniałem  
sobie słowa pani  
Pawężyny, i znowu dotknęło mnie rozpalone żelazo obrazy. Kiedy się  
mnie tak nic  
a nic niebano dla serca dziewczyny, postanowiłem stać się w  
najwyższym stopniu  
niebezpiecznym. Nie byłem pięknym, ale byłem sympatycznym,  
inteligentnym i  
oryginalnym, i mogłem być demonicznym. Podobno nic tak nie  
pociąga kobiety, jak  
piekielne głębie w charakterze i w oczach mężczyzny... Wszyscy  
wielcy  
uwodziciele byli demoniczni. Leżałem już w łóżku i wśród ciemności  
mojej izdebki  
czułem w sobie wszystkie przymioty wielkiego uwodziciela. No,  
doprawdy miałem w  
przeszłości mojej dowody... Przecie i don Żuan nie szukał koniecznie  
zdobyczy w  
salonach... Dla wielkiego uwodziciela każda kobieta jest kobietą, a

najpiękniejsza ofiara miłości w literaturze, Małgosia Goethe'go, jest  
sobie po  
prostu zwyczajną prządką.  
Teraz już wiedziałem, czego się miała strzedz. pani z Czarnozorów!  
Miała się  
strzedz nie gilotyny, nie stryczka, które, bądź, co bądź, są wymysłami  
czysto  
ludzkiemi, miała się ona strzedz mężczyzny,

jako potęgi oderwanej, nieujętej a wszechwładnej, gdy przed nią w  
prochu leży  
serce kobiety! Tak, na żelaznej sztabie łóżka zasypiał w tej chwili nie  
"niesprawiedliwy nauczyciel, " nie "korepetytor bez konsekwencja"  
ale "wielki  
uwodziciel. "  
Powołanie to tak mi się podobało, że widocznie twarz moją i postać  
rzeźbiło dnia  
następnego dłużej uczuć odpowiednich, bo Michaś, ledwie mnie  
zobaczył, szepnął mi  
do ucha:  
— Przysięgłbym, że już całowałaś warkocze... No, przyznaj się!  
Obraziłem się i nie odpowiedziałem, ale byłem dumny i kontent,  
jakby mnie kto na  
sto koni wsadził, z tego przypuszczenia Michasia. Tak, pani z  
Czarnozorów!  
Chciałem całe życie klęczeć u nóg twej córki, niekochany,  
zadawałając się tylko  
miłością własnego serca... ale, kiedy mnie lekceważysz, kiedy się  
mnie nie  
boisz... O, poczekaj, przekonasz się, jak jestem niebezpiecznymi  
W takim stanie mściwości ducha i podniecenia męskiej drapieżności  
dotrwałem aż  
do chwili, w której szarpnąłem za dzwonek mieszkania państwa  
Pawężów.  
Szarpnięcie to sprawiło zupełnie skutek, podobny otworzeniu w łaźni  
kranu z

zimną wodą. Zmalałem, skuliłem się... takim się zrobił mizerny, że w  
mysią  
dziurę byłbym się schował. Inny człowiek, — prawdziwy don Żuan,  
— pocisnął  
sprężynę, a inny, — prawdziwa szpitalna wywłoka, — wstępował na  
schody. A wobec  
Dzidzi! Wstyd mi na wspomnienie tej lekcji! Żona Lota,  
przemieniona w słup soli,  
statua komandora, szyldwach pruski, mumia egipska, woskowe figury  
pana Levittoux  
były rozigrane i roztrzepane

w porównaniu ze mną! Dzidzia była tego dnia prawdziwie  
macierzyńska. Postępowała  
ze mną, jak z człowiekiem, którego ocaliła od śmierci głodowej,  
patrzała na moją  
twarz rumianą i barczyste ramiona, jakgdyby były jej dziełem,  
głaskała mnie  
słowem i spojrzeniem, w moim apetycie upatrywała dowód czystego  
sumienia; a ja  
wobec tego wszystkiego zachowałem się, jak wypchany gawron. Koń  
Kaliguli,  
ogłoszony konsulem, okazał się pewnie tkliwszym na doznane  
odznaczenie, niż ja,  
którego spotykało szczęście jej życzliwości... którego ona w płaszcz  
królewski  
swej sympatii odziewała! Byłem, jak wulkan, nie mogący otworzyć  
sobie krateru.  
Chciałem ją przynajmniej zapytać, jak miłość po niemiecku a i na to  
nie  
znalazłem odwagi. Zacząłem nawet frazes, lecz zamiast "miłość"  
powiedziałem  
"śmietanka" z takim drzeniem głosu, że Dzidzia śmiać się zaczęła i  
spojrzała na  
mnie, jak na człowieka niespełna... Mój Boże, przecie ja bywałem  
nawet bardzo

śmiałym, a tu zapomniałem języka w gębie; cała zdolność  
uwodzicielska leżała we  
mnie, tknięta paraliżem, jak prawa ręka i lewa noga mego stryja  
Jakóba, który z  
tego powodu wyglądał jak tyrbuszon. Dzidzia widocznie była  
zdrowsza. Nie leżała  
już podczas lekcji, choć bladość jej była może większa jeszcze. Była  
nawet tak  
wielka, że zamierzałem doczekać tylko stosownej chwili, poradzić się  
kolegów-  
medyków i ofiarować jej tyle kwart młodej, zdrowej mojej krwi, ile  
jej będzie  
potrzebowała. Przecie takie transfuzye (zdaje mi się, że się to tak  
nazywa) — to  
rzecz praktykowana w medycynie! Pałałem żądzą oddania jej krwi  
mojej, i zdawało  
mi się, że już widzę dwoje ramion

obnażonych, spojonych rurkę, dwóch lekarzy, śledzących poważnie  
przebieg  
operacji i dopatrujących na mojej twarzy śladów wycieńczenia... że  
widzę siebie  
blednącym powoli i dochodzącym do białości kredy, . ją zaś  
rumieniącą się  
stopniowo i przechodzącą od różowych cieniów jutrzeńki aż do koloru  
tryskających  
zdrowiem policzków mojej siostry. Jak jej było ładnie z rumieńcami,  
to nawet  
sobie wystawić trudno! Czasem powolusieńku wypływał różowy  
obłoczek na jej  
policzki, w oczach iskrą się zapalał... Ze dwa razy obserwowałem to  
zjawisko. W  
snach, marzeniach, i pisząc do niej wiersze, widziałem ją zawsze z tą  
różową  
mgłą, przeciągającą po jej twarzy. To jej w moich oczach nadawało  
pozory

nieziemskiego zjawiska, przesłoniętego gazą obłoku.  
Jednego z dni następnych poszliśmy we trzech z Michasiem i  
Stefanem do teatru.  
Przepadałem za muzyką. Nic się nie znałem na niej i krytyki  
muzyczne po  
dziennikach mało rozumiałem, ale, gdy mi piękny głos zaśpiewał,  
ulatywałem duszą  
gdzieś wysoko ponad paradyz, na którym się moje ciało pocilo; i  
wolałem  
ignorować dziury w butach, niż sobie odmawiać pójścia na operę od  
czasu do  
czasu. Zawsze się moich uszu naczepiało różnych pieśni, urywków  
muzycznych, żem  
sobie potem rady dać nie mógł! Ani się opędzić! Śpiewałem na całe  
gardło, gdym  
był sam, nuciłem, lecąc trotuarem, nuciłem w duchu na wykładach...  
aż mię to  
czasem niecierpliwiło. Gdym długo nie był na operze, formalna  
ogarniała mię  
tęsknota. Odwracałem się od afiszów, kiedym czuł pustki w  
kieszeniach, żeby  
sobie krwi nie psuć. "Fausta" Gounod'a — to już nie lubiłem,

ale kochałem. Śpiewałem chyba całego i już wiedziałem, kiedy który  
aktor  
wchodzi, kiedy wychodzi.. Otóż tego dnia znowu na "Fausta" mię  
koledzy namówili,  
choć im proponowałem, że im przedstawię darmo całą operę, byle mi  
dostarczyli  
kołowrotka. Poszliśmy na jaką godzinę wcześniej, żeby dostać dobre  
miejsce, bo  
ta nasza jaskółka nie dla wszystkich ma macierzyńskie skrzydła, i, choć  
student  
uniwersytetu daje sobie jakąś radę, i znają przed nim mores, to jednak  
woleliśmy

drogi legalne, siłę pięści zachowując na nadzwyczajne wypadki. W  
łożach, w  
krzesłach i na wszystkich miejscach numerowanych pustki! W  
orkiestrze pulpity,  
jak kamienie grobowe na żydowskim cmentarzu! Nigdzie człowieka!  
Ale Stefan  
właśnie dowodził, że najgłupszem i najmniej potrzebnym  
stworzeniem w naturze  
jest człowiek. Słuchałem go tylko półuchem. Marzyłem o mojej  
Dzidzi z takim  
zapałem, z taką siłą tęsknego zachwytu, że umarłego byłbym nim  
wskrzesał.  
Mówiłem do niej... uwielbienie moje w żywe, prawdziwe słowo się  
ubierało. Anim  
się obejrzał, gdy zaczęto grać uverturę i gdy się zaroilo w teatrze.  
Loże  
napęniały się ostatnie, oślepiający blask żyrandola oświecał toalety  
kobiet,  
teatr przybierał minę odświętną. Wkoło mnie mówiono o Russelce,  
która śpiewać  
miała, Dzidzia wyszła mi z głowy. Michaś, pozujący na wielkiego  
znawcę piękności  
kobiecej, zawołał nagle z lornetką przy oczach:  
— Aj, taka piękna, że aż się mdło robi!  
— Gdzie?... która?... Dajże lornetkę!  
— O, ho, ho, to musi głowy zawracać! Istna, królowa!

Tak w tej chwili zapomniałem, że się kocham w Dzidzi, i żadna inna  
kobieta na  
tym świecie mi nie obchodzi, żem dostał na mgnienie oka gorączki  
wydarcia  
Michasiowi lornetki i zobaczenia owej piękności.  
— Kiedy nie mogę się oderwać, — mówił Michaś, broniąc lornetki,  
którą mu odebrać  
chciałem. — Jeżeli warto żyć na tym padole, to dlatego, że są na nim  
takie

kobiety!

Zaczynałem się obrażać i wpadać w złość, więc na koniec Michaś złożył broń.

Nakierowałem lornetkę, serce zabiło mi młotem w piersi... przed samymi oczami miałem panią Pawężynę. Serce się nie myliło, obok niej była Dzidzia! Moje

kochanie wyglądało blado, mizernie... nikło przy tej pięknej matce o włosach

Czarnych, kunsztownie spiętrzonych, w których sterczała różowa kita pióropuszu.

Istna bachantka, przygniatająca dumnymi wdziękami wszystko, co ją otaczało...

Miałem takie uczucie, jakgdybym mówił kolegom moim: co wam się to, robaki, równać z człowiekiem, który się kocha w dziewczynie, mającej tę kobietę za matkę!

— Ciekaw jestem, kto to jest?.. z jakiej to paczki ludzi ta istota... coś trąci

arystokracją, — mówił Michaś. — Ach, skonać u nóg takiej bogini! Milczałem, rosnąc w dumie, rozkoszując się myślą, że ja tę boginię widywałem

codziennie i nawet wiedziałem, iż miała w jednym z przednich zębów plombę złotą,

która rzucała żółte blaski przy uśmiechu pięknych ust. A oni? Nie mieli, co do

tej plomby, nawet najlżejszego przeczucia!

— Nadzwyczajna, kolosalna! — mówił Stefan, dostawszy się na koniec do lornetki.

Jakiś siedzący koło nas młodzieniec — z twarzą, wyraźnie mówiącą o izraelskim

pochodzeniu, zwrócił się ku nam i rzekł usłużnie:

— Panowie wiedzą, kto to jest? Ja znam tę panią, i jej męża... i jej córki...



— Któż to taki?

— To państwo, bardzo bogate... oni się dopiero przeszłego roku do Warszawy

sprowadzili. Jakoś Po... Pie...

Koledzy zaczęli dopomagać pamięci młodzieńca, i stanęło na tem, że pani nazywała

się albo Popiel, albo Pieniążek... ale prędzej Pieniążek.

— Ta panienka, co koło niej siedzi, to jej córka.

Lornetka Stefana zwróciła się na Dzidzie. Taka mię ukąsiła zazdrość, że pięść

moja o mało się na tę lornetkę nie spuściła.

— Ależ ona nie ładna, — rzekł Michaś.

— Pst... pst... — rozlega się wkoło. Faust zaczynał śpiewać.

Nienawidziłem panią Pawężynę za to, iż się ośmielała być piękniejszą od córki;

przez chwilę nawet z lornetką przy oczach doznałem wstydu, iż się kochałem w tem

nieładnem, śniadem dziewczęciu. Może ja się nawet nie kochałem, może mi się to

tylko zdawało?

— O, Dzidziu! przebacz mi, przebacz! — zawołałem w duchu. —

Ciebie jedną, ciebie

tylko Kocham! Kocham cię za to, żeś nieładna... Kocham cię za to, żeś mizerna,

żeś śniada, żeś szczupła i wątła...

Tysiąc wyznań, tysiąc szaleństw powiedziałem jej przez ciąg przedstawienia.

Usłużny mój a nieznajomy sąsiad, co chwila, lornetkę swą mi ofiarowywał. Czynił

to z takim zapalem, jakgdyby to jedno do szczęścia mu było potrzebnem. Aż mię

oczy bolały od patrzenia na Dzidzie!

Ale też żaden z jej ruchów nie uszedł mojej uwagi. Zajęta była matką.

To na nią

patrzała z zachwytem, to coś w jej stroju poprawiała. Zdawało mi się,  
że jej  
usta wymawiają czasem: "śliczna, jedyna!"  
Podczas jednego z antraktów do ich łoży wszedł Leoś. Po ukłonie  
siadł, a one  
zwróciły się ku niemu. Usta się poruszały, uśmiechały z za wachlarzy.  
Było coś  
okrutnego w tem, że ja na to patrzeć musiałem! Prometeuszowi na  
jego skale  
lepiej było, niż mnie na jaskó! I ja miałem sępa, szarpiącego mi  
wnętrznosci.  
Była nim zazdrość! Czego właściwie zazdrościłem? Sam nie wiem,  
ale nie mógłbym  
więcej cierpieć, gdybym się przekonał, że Dzidzia kocha Leosia i jest  
z nim  
zaręczona. Co ja za bluźnierstwa miotałem, rozciągnięty na tem łożu  
tortur...  
łamany kołem zazdrości! Gryzłem usta, marszczyłem czoło. Na  
szczęście koledzy  
nie zważali na mnie. Za sobą odkryli jakieś dwie panny i zawracali im  
gitare, że  
aż uszy wiodły.  
Dopiero podczas ary i Małgosi w więzieniu uspokoiłem się, jak  
szamoczące się w  
klatce zwierze, które pada nagle, sapiąc, na ziemię. Jakież to waryat był  
ze  
mnie! Czego ja chciałem, czego miałem prawo żądać od Dzidzi?  
Leosia już w łożu  
niebyło, a mój anioł patrzył na scenę, temi swemi jasnemi oczyma...

Przecież go nawet nie lubiła!... sama mi to powiedziała, a ja  
nikczemny, ja  
opętany śmiałem ją posądzać.  
— Przebacz rai, przebacz!.. daruj i nie karz!... miej litość!... Lecz,  
jeżeli ją  
masz, jeżeli przebaczasz, spojrzij na mnie, raz jeden spojrzij!

Całą siłę pragnienia, całą potęgę tęsknoty umieściłem w tem dusznym wołaniu.

Drgnąłem. Oczy Dzidzi powoli się podniosły, i nagle ujrzałem je tuż przed szklami lornetki. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje; jak przez mgłę pamiętam, że Dzidzia zwróciła się do matki, coś jej mówiła, potem obie spojrzały w górę i lekko skinęły mi głową. Na jaskółe i tak było gorąco, mnie ogarnęły jakieś afrykańskie żary. W uszach mi dzwoniło, nie słyszałem pieśni biednej Małgosi...

Bo czyż to nie było coś dziwnego, coś niewytłómaczonego w tem spojrzeniu Dzidzi?

Traf, przypadek! Łatwo to powiedzieć, i mówiłem to sobie, ale nie mogłem

zwalczyć przekonania, że w tem tkwiło coś nadnaturalnego... że to była jakaś przepowiednia, jakiś znak... coś, co nie mogło być wytłómaczonem zwyczajnie...

Oszołomiony, z pierśią, pełną nadziei, szalejącą oczekiwaniem tego, co

zapowiadało spojrzenie Dzidzi, wyszedłem z teatru. Nucilem, biegnąc, z rękami w

kieszeniach, z czapką nasuniętą, i podniesionym kołnierzem. Zimno ogarniało moje

spoczone ciało, ale duch był na wyżynach filozoficznych.

Miłość, — myślałem, — tylko miłość i nic więcej... Reszta jest głupstwem! Dwoje

kochanków, zapominających, że mają sklepienie niebieskie nad sobą i ziemię pod

nogami.... W tem leży cała mądrość życia! Bóg, przypadek czy logicznie przez

wieki działająca

siła, która przetworzyła jakiś mikroskopijny wymoczek w człowieka,  
— wszystko  
jedno. Wszystko miało na celu tylko miłość! To jest rozwiązanie  
zagadki... to  
kamień filozoficzny!  
— Pan byłeś wczoraj na "Fauście," — rzekła mi Dzidzia nazajutrz. —  
Jak to musi  
być zabawnie siedzieć tak wysoko... widzieć same czubki głów!...  
Pewnie tam  
strasznie gorąco? To też tam zawsze zapal! Długoście jeszcze wczoraj  
krzyczeli  
po naszym wyjściu? Pan lubi muzykę?... Tatuś ma do pana jakiś  
interes... Prosił,  
byśmy dziś trochę wcześniej lekcję skończyli...  
Jaki pan Pawęza mógł mieć do mnie interes? Łamałem sobie głowę  
przez całą  
lekcję, i wkońcu okropne przypuszczenie przeszło mój umysł.  
Musiano zauważyć w  
teatrze, że ja przez całe przedstawienie wypatrywałem sobie oczy na  
jego córkę,  
i obrażony ojciec zapewne będzie żądał rachunku... Może ja ją  
naprawdę  
skompromitowałem temi dwiema lufami lornetki, przez trzy godziny  
wymierzaniem w  
jej stronę? Reputacya kobiety — to jak świeżo spadły śnieg... Lada  
pyłek go  
plami... Może się dowiedziano, że spędzam z nią codziennie godzinę  
sam na sam i,  
wadząc tę moją lornetkę, ośmielono się czynić ohydne  
przypuszczenie! Zatrute  
tchnienie świata dotknęło białej, dziewiczej szaty mojego anioła... Ale  
ja gotów  
jestem na wszelkie zadosyćuczynienie! Gotów jestem... Widziałem  
siebie w myśli,  
stojącego w postawie wyprostowanej, lecz ze schylonem czołem,  
słuchającego w  
milczeniu zarzutów pana Pawęzy... lecz, gdy nakoniec powiedzianem  
mi zostało, że

takie obrazy krwią się zmywa, otwierałem mundur na piersiach  
ruchem,

pełnym wzniosłej tragiczności, wskazującym, że byłem gotów na cios  
śmiertelny...

że nadstawiałem piersi...

W tym celu już przy lekcji z Dzidzią rozpinalem powoli i nieznacznie  
mundur,

tak, bym mógł potem uczynić ten ruch, dający obrażonemu ojcu  
dowód, że na

wszelkie zadostycuczynienie byłem gotów...

Jak ja mogłem nie czuć, że na pannę, mającą niebieską krew w żyłach,  
niepatrzy

się tak, jak na pospolitą dziewczynę z krwią czerwoną? A czy ja  
zdołam zmazać tę

plamę na reputacji Dzidzi? Światu nie wydrzesz z paszczy plotki,  
którą raz

uchwycił... Czułem się najniezwyklejszym z ludzi!... Ody wszedł  
pan Pawęża,

przybrałem tę postawę, pełną godności, którą byłem przygotował:  
jedną ręką

wzdłuż ciała, drugą w zanadrzu, czoło lekko pochylone.

— Mam do pomówienia z panem, — rzekł biedny ojciec. — Wyjdź  
Dzidziu... zostaw

nas samych!..

Naturalnie! Ona nie mogła być świadkiem rozmowy, w której o jej  
honor

chodziło... Trzeba jej oszczędzić okrutnej prawdy...

— Pan masz bardzo czytelne pismo, — ozwał się pan Pawęża po  
wyjściu córki, —

widziałem je na kajetach Dzidzi, i dało mi to myśl proszenia pana o  
małą

przysługę... Chodzi o przepisanie tych oto kilku arkuszy... Jest to  
projekt do

ustawy... będzie przechodził z rąk do rąk, a ja piszę tak, że mię trudno  
odczytać... Czy mogę się z tem zwrócić do pana?

Przystąpiłem na wszystko, ale doznałem niejakiego rozczarowania.  
Więc nie żądał  
odemnie rachunku?... Żałowałem przygotowanego ruchu,  
odsłaniającego piersi...  
Ale cóż robić? może tak i lepiej było!

Pana Pawężę widziałem już był kilka razy i miałem dla niego  
niewytłómaczoną  
sympatyę. O ile jego żona mi imponowała, o tyle on wzbudzał  
zaufanie. Musiał  
mieć lat czterdzieści kilka, włosy jego blond poczynały siwieć na  
skroniach, był  
poważny, miał ruchy spokojne, i, — jakem już był zmiarkował,  
bywając w tym domu  
codziennie, a także jak mi opowiedział Leoś, — sprawy ogółu  
zajmowały go gorąco.  
Zaledwie drugi rok mieszkał w Warszawie, a należał do rozmaitych  
towarzystw, był  
opiekunem dobroczynnych zakładów, podobno wraz z kilku innymi  
obywatelami był  
siłą, wspomagającą i inspirującą jeden z dzienników. Było w nim coś,  
co  
zjednywało szacunek i przychylność. Często wyjeżdżał z Warszawy,  
gdyż sam  
administrował swoje majątki w królestwie i Galicyi. Syn miał  
odziedziczyć po  
ojcu dobra galicyjskie, córki miały dostać majątki w królestwie.  
Panny Pawężanki  
były dobrymi partyami. Wszystko to wiedziałem od Leosia.  
Wysztychowałem panu Pawęży ustawę tak prześlicznie, że się dziwię,  
iż się nie  
domyślił, że się kocham w jego córce. Mężowie są podobno ślepi, ale  
i ojcowie  
także!  
Lekcyje szły swoim trybem. Stawałem się po trochu mniej dzikim. Już  
teraz

rozmawiałem czasem z Dzidzią. Nigdy jej nic nie wspomniałem o  
mojej miłości, ale  
mówiliśmy o teatrze, o muzyce, szczególnie o pogodzie. Czasem o jej  
zdrowiu.

Była ciągle blada i miała z wiosną jechać do Krynicy.  
Zadawałem jej już niekiedy maleńkie wypracowania. Raz, opisując  
spacer w lesie,  
porównała mię do dębu, siebie do bladej brzozy. Myślałem, że się

przed nią rzucę na kolana. Pismo miała śliczne, zupełnie podobne do  
pisma

Pawężyny, które to podobieństwo otrzymanem zostało, — jak mi  
mówiła, — usilną  
pracą.

Kochała matkę do obrzydliwości. Aż jej się twarz rozjaśniała, gdy o  
niej mówiła.

Nic dla Dzidzi nie było piękniejszego i lepszego na świecie. Zdaleka  
wszystko

było dobrze. Ten zaoczny entuzjazm był mi prawie tak obojętny, jak  
podziw dla

piramidy Cheopsa, ale, gdy się te panie wobec mnie uwielbiać  
zaczęły, byłem, jak

warujący pies, któryby nigdy słowa "pyf" nie miał usłyszeć. O,  
Szekspir był

wielkim twórcą dusz, ale i wielkim ich znawcą. Byłem białym  
Otellem. Wszystko,

nawet niewinna miłość dla matki była mi pretekstem do zazdrości.

Gdybym miał

żonę, niewolnoby jej było spojrzeć na innego mężczyznę!

Na początku karnawału znowu jednego dnia zoczyłem lokaja

Pawężów na moim

strychu. Była już może siódma wieczór. Wybierałem się do jednego z  
kolegów.

— Panie proszą pana. Panie proszą zaraz.

— Mnie?

— Tak, tam brakuje jednego pana do ósmej pary.

— Do ósmej pary?

— Panienki młodsze mają brać lekcye tańca, ale u państwa

Opaleckich jest

szkarlatyna. Piszą, że nie chcą narażać zgromadzonych dzieci i

panicza nie

przysyłają.

— Więc ja mam tańczyć? Zaraz przyjdę.

Serce tłuło mi się w piersi. Miałem świeżo kupioną benzynę.

Śpiesznie natarłem

nią plamy munduru i w chwilę potem byłem u Pawężów.

— My doprawdy nadużywamy uprzejmości pana, — rzekła mi pani,

podnosząc

chusteczkę do nosa, bo ta nieszczęśliwa benzyna buchała odemnie, —

ale w

ostatniej chwili dopiero dowiedzieliśmy się, że jeden z danserów nas  
zawodzi...

nauczyciel czeka... Pomyślałam sobie, że młodemu człowiekowi

lekcye tańca zawsze

się przydać mogą...

— Tańczę trochę... choć nie mam wprawy, chętnie zastąpię

brakującego dansera...

Byłbym w tej chwili najszczęśliwszym z ludzi, gdyby nie ta benzyna.

W mojej

zapalczywej chęci wydania się świeżym i czystym zapomniałem że  
benzyna śmierdzi.

Jak grzechotnika po hałasie, tak mnie śledzić było można po woni.

— Co to jest? — rzekła Dzidzia, gdym się do niej zbliżył. — Naftę

ktoś rozlał?

Podobno pan się mnie za dansera dostanie. Będziemy tu, raczej jako  
figuranci,

niż jako aktorowie. Siedm par dzieci i nas dwoje dorosłych...

W salonie na kanapach siedziały panie, ciemno ubrane; rój ślicznych,  
jasno

ubranych panienek i chłopców w krótkich majteczkach spacerował i  
kręcił się;



przy fortepianie siedział ślepy muzykant.  
Byłem jakby odurzony. Przedstawiono mię małym panienkom,  
robiącym podczas tej  
operacji miny dorosłych osób. Śliczne bobięta! Dwie siostrzyczki  
Dzidzi były tak  
cudnymi dziećmi, że gdy szły na spacer z Francuzką, oglądano się za  
niemi. Muszę  
przyznać, że okradły starszą siostrę z piękności. Ale po

co jej była piękność, gdy posiadała taką miłość, jak moja!  
— Ach, to pan, to pan? — wołała Dzidzia, śmiejąc się, gdyśmy stanęli  
w parze,  
ale to śmiejąc się tak, że pokazywała wszystkie ząbki. — Jak się  
nazywają te  
perfumy? Muszę je wprowadzić w modę! Niech mi pan da adres  
sklepu gdzie się je  
nabywa! Już jesteśmy blaze (tak wyraźnie powiedziała), jesteśmy  
blaze na punkcie  
fijołków, róż, siana, świeżo skoszonego, i to, czem pan siebie oblałeś,  
doskonale odbija na tle tamtych komunałów!  
— Przepraszam panią... tak. mię śpiesznie wezwano... mundur był  
świeżo  
benzyną...  
— Ależ to nic nie szkodzi!... to zapach, prawdziwie orzeźwiający! Ja  
czasem  
niestety mdleję; dziś mi się to niezawodnie nie zdarzy.  
Stawiają pomniki rozmaitym niedołączom! a zapomniano nawet  
nazwiska ludzi, co  
wymyślili walca lub polkę! A jacy to byli wielcy ludzie! Ile oni dali  
szczęścia  
ludzkości. He błogich wspomnień w serca rzucili! Mieć w objęciach  
ukochaną  
kobietę! Zdawało mi się tylko, że człowiekowi klęczenie i adoracja  
wystarczyć  
mogą do szczęścia! To było złudzenie. Dopiero, obejmując szczupłą  
postać Dzidzi,

przekonałem się, że właściwie do szczęścia nie klęczenie, ale właśnie ta pozycja jest potrzebna. Ta, a nie żadna inna! Wszystko koło mnie znikło. Pod gwiaździstym namiotem niebios byłem tylko ja i ona! Takie przynajmniej miałem uczucie w sercu, choć byłem posłuszną ofiarą w rękę nauczyciela tańca, mającego bezbrzęcznie głupią minę, śmieszne, ba-

letnicze ruchy i głos, nienaturalnie dostroić się usiłujący do najwyrafinowańszych salonowych wymagań. Miałem ją w objęciach dnia tego po raz pierwszy. Przyszedłszy rozmarzony do domu, zanotowałem datę -go stycznia w kajeciku, gdzie spisywałem bieliznę dla praczki i ważniejsze wydarzenia mojego życia. Do dziś dnia stoi tam wyraźnie: "pierwsza polka z Beatrycją." Chciałem napisać z "Dzidzią, " ale upodobanie w tajemniczości, które mię od jakiegoś czasu trapiło, nie pozwoliło mi na wyraźne wymienienie imienia. Co to się zaczęły za rozkoszne dni dla mnie! Po obiedzie lekcja, dwa razy na tydzień taniec wieczorem! Takem się już był ośmielił, że w rozmowie z Dzidzią przechodziłem czasem od pogody do najformalniejszych aluzji do stanu mojej duszy. Pamiętam, że raz przy rozpamiętywaniu bardzo silnych mrozów, trapiących ubóstwo warszawskie, powiedziałem: — Znam takich, co pomimo mrozów mają podzwrotnikowe gorąco w sercu. To już było bardzo przezroczyste, ale nie wiem, czy się Dzidzia na rzeczy poznała, bo się rozśmiała jak dziecko, a przecie to była bardzo poważna, choć

nieśmiała aluzja.

W dni lekcyi tańca proszono mię na herbatę. Ciemne panie z kanap  
zabierały swoją  
dzieciarnię, robiło się pusto w salonie, mnie tylko przysługiwało  
wyjątkowe

szczęście... Zostawałem przy stole rodziny. Siadałem na końcu  
między Mańką a

Lulą, z którymi byłem w wielkiej przyjaźni, i zdawało mi się, że ja tu  
naprawdę

mam jakieś miejsce w tem kółku ro-

dzinnem, że miałem prawo ogrzewać się przy domowem ognisku  
mojej ukochanej. Pani

była zawsze ze mną sztywna i protekcyjnalna, ale pan zwracał się do  
mnie często.

Pytał o ducha, panującego między nami, o nasze zamiary, o nasze  
dyskusye i

zgromadzenia. Było w tym człowieku coś prawdziwie  
obywatelskiego. Przywiązałem  
się do niego.

Leoś bywał podobno u Pawężów często, ale raz tylko widziałem go na  
herbacie.

Był, jak u siebie. Rozmawiał, dowcipkował, patrzył prześlicznie z pod  
długich

rzęs, poruszał się swobodnie... Niecierpiałem go, lecz musiałem  
przyznać, że

miął wiele towarzyskiego wdzięku, że jakiś urok osobny go otaczał.

On i ja — to

były dwa światy. Ja przedstawiałem pracę na chleb i pracę naukową,  
w których

tonęły wykwinty towarzyskie, a nawet płócienne kołnierzyki i  
wszelkie wygody i

ozdoby życia. On — to było wyczedzenie uczuć i potrzeb przez filtry  
dostatku,

mody, komfortu, pańskich i wielkoświatowych przyzwyczajzeń. Ja  
byłem dziki, on

był tresowany; ja zwyczajny koń stepowy, wzięty do wożenia ciężarów, on cyrkowy wierzchowiec, umiejący galopować z jednej i z drugiej nogi, tańczyć polkę i kłaniać się publiczności. Swoją swobodą i wdziękiem przybijał mię do ziemi.

Pocieszało mię tylko to, że się zdawał Dzidzię uważać za dziecko.

Zwracał się przeważnie do jej matki, ale, że mówili po francuzku prawie ciągle, więc nie

wiem, o co im chodziło. Pani Pawężyna była bardzo ożywiona, wesoła, dużo

mówiąca. Czarne jej oczy strzelały iskrami. Oboje z Dzidzią patrzyliśmy na nią z zachwytem.

O jej piękności mówiono powszechnie. W końcu

karnawału Warszawa rozszalała się na dobre. Bale i wieczory, wieczory i bale!

Jakieś oddźwięki tego wszystkiego dochodziły aż na mój strych, ale że Dzidzia

nie bywała jeszcze na większych zebraniach, więc nie zazdrościłem nikomu tańca

ani zabawy. Pani Pawężyna świetniała podobno wszędzie pięknnością i tualetami.

Opisywano sobie jej suknie, jej brylanty... To wszystko wiedziałem przez

Dzidzię, która była odurzona powodzeniem matki. Raz ją wezwano wśród lekcji, bo

pani Pawężyna przymierzała suknię. Dzidzia, wróciwszy, zapewniała mię, że nic

piękniejszego w życiu nie widziała, jak suknia matki.

Pawężowie dali też wielki bal, z powodu którego spędziłem taką noc, jakiej nawet

nieprzyjacielowi nie życzę. Zdawna już wiedziałem o terminie tej frajdy, a w

wilię zapowiedziano mi, bym na lekcję w ów dzień nie przychodził,  
bo Dzidzia  
 spać miała przed balem, by się nim zanadto nie zmęczyła.  
Przewalałem się całe  
poobiedzie, bom sobie rady dać nie mógł bez mojej godziny z  
Dzidzią. Byłem zły i  
czułem się jakby okradziony. Poszedłem z kolegami do Czerskiego,  
ale mię wciąż  
zalaływały jakieś urywki mazurów i walców... widziałem długie  
warkocze, które  
wir tańca unosił... obnażone ramiona, jasne suknie... czarne fraki i  
białe  
krawaty. Po kuflu piwa taka ogarnęła mię tęsknota, takie jakieś  
moralne  
zamroczenia, żem nie mogł znieść żartów i głośnej rozmowy  
kolegów. Uciekłem z  
ich grona.  
Przed domem, w którym mieszkałem, był ruch niezwykły. Zajeżdżały  
karety,  
wysiadały z nich postrojone kobiety, czarni, jak kruki, panowie...  
Docisnąłem  
się do bramy i stanąłem w cieniu. W szero-

ko otwarte drzwi, prowadzące na schody pierwszego piętra, wchodził  
właśnie Leoś.  
Prześliczne futro, spadając mu z jednego ramienia, wlokło się po  
schodach;  
czarny strój uwydatniał jeszcze jego gibkie kształty i piękność rysów.  
Zwycięzki  
uśmiech jaśniał na jego twarzy. Pięści zacisnęły mi się kurczowo,  
byłbym mu  
skoczył w tej chwili do gardła! Byłem w istocie, jak zacząjony w  
cieniu tygrys,  
czyhający na zdobycz... On z Dzidzią dzisiaj tańczyć będzie... całą  
noc będzie

na nią patrzył, a mnie niezaproszono nawet! Byłem dobry na zatkanie  
dziury w  
dziecinnych lekcyach tańca, ale na uczestnika w zabawie starszych się  
nie  
przydałem. Wstydzonoby się mnie... moje plebejuszowskie ręce nie  
były godne  
dotknąć paska tych pań, choć świeżo przecie nabrałem wprawy w  
tańcu i w żadnej  
figurze kontredansa się nie myliłem! Leoś, ta malowana lalka, ten paw  
nadęty,  
ten tchórz, ten utracyusz, był im lepszy odemnie! Będzie zbierał  
słodkie  
uśmiechy, spojrzenia, słówka łaskawe... będzie się rozpierał na tych  
krzesłach,  
których ja brzeg tylko zajmować się ośmielałem!... Muzyka, grająca  
na górze,  
dochodziła do mnie wyraźnie. Każda jej nuta dolewała goryczy do  
serca, łez do  
oczu!... Bo ja płakałem... jak baba, jak bóbr! Pobiegłem ukryć łzy do  
mojego  
pokoiku! O! jak to dobrze mieć choć taką ciupę na strychu, gdzieby  
można było  
gryźć wędzidło wszystkimi naraz zębami, szaleć burzą wszystkich  
boleści serca,  
niebędąc widzianym przez nikogo. Byłem jak postrzelone zwierze,  
pragnące ukryć w  
jaknajciaśniejszą norę rany i jęki swoje. Wyrzucałem Dzidzi zdradę.  
"Kobieto  
puchu marny!" Do wypróbowania swych nówek w tańcu brałaś mię  
chętniej

ale, gdy przyszło do wyboru tych, których chciałaś mieć za  
towarzyszy prawdziwej  
zabawy... "Przebóg, tak ciebie oślepiło złoto!" Nie doznałabyś może i  
chwili

litości, gdybyś spojrzała na cierpienia moje... możebyś w twej dumie  
zadowolona  
była, że umiesz w ludzką duszę wlewać tyle szału... Znany jest typ  
kobiety,  
igrającej, jak kot z myszą, z miłością mężczyzny... o! bo miłość od  
każdego  
przyjąć można i dawać uśmiechy... warkocze z szezlonga spuszczać  
aż na ziemię...  
kazać jeść przy sobie... tłumaczyć bez zmrużenia oka ustępy, pełne  
aluzyi... w  
rozmowie od mrozów przechodzić do żarów serdecznych, — to  
wszystko można! A gdy  
potem męskie serce przywiąże się, jak pies do pana, wtedy je, jak psa,  
kopnąć  
noga! Tak, Dzidzia była zdradliwą kobietą, jak wszystkie inne  
kobiety! Jej oczy,  
niewinnie patrzące, jej warkocze kłamały, bo kłamstwem oddychają  
one  
wszystkie... każda je w mleku matki znajduje i karmi się niem od  
urodzenia!  
Napisałem wiersz, w którym przeklinałem Dzidzię; w którym  
rzucałem jej na głowę  
tyle obelg, miotałem takie skargi, że sam Słowacki by się tego wiersza  
nie  
powstydział. Potem naraz zrobiło mi się okropnie żal Dzidzi, że się z  
nią tak  
obszedł niemiłosiernie, że byłem tak twardy i tak bez litości dla niej...  
że ją  
zaocznie potępiłem... że ja niewolnik, śmiałem na moją królową rzucać  
gromy moich  
błóżnierstw...  
Te wszystkie perypecje bólu, ugaszonego nakoniec rosą litości, zajęły  
mi noc  
całą. Takie noce, w których człowieka, zdrowego ciałem, szarpie i  
budzi  
bezlitosna ręka moralnego cierpienia, takie noce pamięta się całe  
życie. We  
wspomnieniu przyczyna

wydaje się często błahą i śmieszną, ale niemniej spowodowała ona  
mękę, której  
się niezapomina. Bądź błogosławiona, Dzidziu, za wszystkie ciche,  
niewyznane  
rozkosze, jakie mi dałaś; bądź błogosławiona i za tortury, na które mię  
kładła  
miłość moja!  
W poście wszystko wróciło do zwykłego porządku. Lekcje szły  
systematycznie, choć  
zdrowie Dzidzi ciągle było wątłe; postępy uczennicy były widoczne;  
ja byłem  
ukojony i uciszony wewnątrz. Miłość płynęła mi teraz we krwi  
spokojnie. Jak  
zaszczepiony jad ospy, wywołała z początku gorączkę i zaognienie,  
potem stała  
się częścią mnie samego, i takeśmy do siebie przywykli, że już mię  
ani dziwiła,  
ani unosiła, ani chłostała. Miałem codzien moją godzinę cichego  
szczęścia,  
czasem po jej upływie miałem chwilę rozmowy... Już mię u Pawężów  
niemiano za  
obcego. Mańka i Lula okazywały mi prawdziwą serdeczność, i gdy  
czasem w kółku  
zebranych dla zabawy dzieci brakowało kotka dla uciekającej myszki,  
posyłano po  
mnie. Bo też niełatwo było o tak straszego kota. W biegu nie  
znalazłem nigdy  
nikogo sobie równego, to też, gdy, zostawiwszy myszce przez chwilę  
iluzję, że mi  
uciec zdoła, puszczałem się potem za nią tak, jak to umiałem, wśród  
dzieci  
podnosił się jeden okrzyk radości i grozy. Dla odpoczynku bawiliśmy  
się czasem w  
sekretarza. Moje rymy robiły furorę. Odczytywano je, wyrywano je  
sobie... Mańka



i Lula miały mię za genialnego poetę i dziwiły się, że jeszcze w "Tygodniku illustrowanym" nie siedział na pierwszej stronie. Musiałem im przyrzec, że się fotografować będę, bo nużby moje rysy zagięły w zapomnienia fali!

Dzidzia należała zwykle do zabawy. Była dla mnie bardzo dobra; coraz większą okazywała niechęć dla Leosia, co mi ją tem droższą czyniło. Mówiła o nim z rozmaitemi przycinkami, wyśmiewała się z jego próżności, stawała się złośliwą, gdy go wspominano. Czasem rumieńce na bladą twarz jej występowały, i oczy gniewem świeciły, gdym go przed nią bronił, co czyniłem podstępnie, by się napawać rozkoszą jej oburzenia. Począłem wątpić o wszechpotędze piękności męskiej nad sercem niewieściem i przypuszczałem, że powierzchowność sympatyczna, inteligentna i oryginalna bez porównania łatwiej miłość zdobywa. Zdobywanie jednak szło mi ciężko. Milczałem, chowałem uczucie głęboko, ale żyłem niem... Kierowało wszystkimi memi czynnościami. Pewnego razu naprzykład Dzidzia, która była bardzo pobożna, skarżyła mi się, że jej pościć niepozwalano. W wielkim poście musiała jadać mięso nawet w piątek. Bolało ją to bardzo. Zapytałem jej, czy sądziła, że Pan Bóg przyjąłby zastępstwo w tym razie... Przypuszczała, że nie, ale byłoby dla niej zasługą, gdyby kogoś nawróciła... gdyby za jej wpływem ktoś, co nigdy nie pości, pościć zaczął. Przyrzekłem jej, że nie tknę mięsa trzy dni w tygodniu przez resztę postu, a wielki tydzień cały

pościć będę. Przyrzeczenia święcie dopełniłem. Uprosiłem panią  
Bulską, by mi  
dawała cobadź, choćby kartofle z solą tylko, byle nie mięso.  
To moje postne jadło koledzy przyprawiali mi żartami i śmiechem. Co  
też się  
sobie ze mnie nadrwili! Gdy w dni postne stawiano przedemną jakieś  
kluski,  
przypuszczeniom i dowcipkom nie było końca. Widziałem, że pani  
Bulska ze  
zgorszeniem patrzyła

na to zapoznawanie mię przez kolegów. Pewnego razu miara jej  
cierpliwości się  
przepełniła, i powiedziała im kazanie:  
— Że się jeden między panami znalazł taki, co posty, przez kościół  
nakazane,  
zachowuje, to zaraz jest solą w oku wszystkim!... W niedzielę ksiądz  
na kazaniu  
mówił o synach Helego, co niedopieczone mięso z ofiar widelcami  
porywali. Zaraz  
sobie pomyślałam, że nasi studenci nielepsi! Aż zgroza pomyśleć!  
Przynajmniejbyście panowie nie gorszyli takich, porządnych,  
pobożnych chłopców,  
jak pan Brzelski.  
— To mu spowiednik kazał, — rzekł Michaś.  
— Każdy spowiednik zaleca...  
— Ale ten spowiednik nosi gorset i spódnicę!  
— Dla panów nic niema świętego!  
— Ale są święte!  
— Takie święte, co na nie dyabli w piekle smołę gotują! Znam ja  
wasze  
święte! Śmiałem się z innymi z oburzenia pani Bulskiej i, choć  
pierożki z serem  
były szkaradne, bo ser był zjełczały i gorzki, jednak łykałem je, z  
myślą o

niej. Tak mi było słodko ponosić dla niej tę ofiarę! Bywałem  
wprawdzie po tych  
postnych obiadach jakiś wzdęty a pusty, ale serce moje rosło na myśl,  
że ja się  
poświęcałem dla niej, a ona ofiarę przyjmowała. Gdyby mi kazano  
nosić  
włosienicę, ani chwili bym się nie namyślał... Bylebym miał na nią  
pieniądze, bo  
oto u mnie było zawsze najtrudniej. Co ja się naprzykład namarzyłem  
o tużurku!  
Po pragnieniu posiadania serca Dzidzi najbardziej chyba pragnąłem  
posiadać  
tużurek.

Doszedłem do niego nareszcie na Wielkanoc, ale zawiódł zupełnie  
moje  
oczekiwanie. Myślałem, że mi doda swobody, pewności siebie,  
tupetu. Tymczasem na  
święconem u państwa Pawężów zdawało mi się, że wszyscy na mój  
tużurek patrzą, i  
do reszty straciłem fantazyę. Czułem moje wypukłe nieco plecy,  
wyrastające pod  
cienkiem sukniem tużurka do znaczenia garbu, i tego, niczem  
nieuzasadniego  
przekonania pozbyć się nie mogłem. Moja elegancya spadła mi  
kamieniem na  
ramiona. Byłem zawiedziony i do najwyższego stopnia nieszczęśliwy.  
Dzidzia nie  
oceniła też wcale ofiar, jakie uczyniłem dla zafundowania sobie  
owego tużurka:  
— Takem się przyzwyczaiła do pana w mundurze... zdaje mi się, że to  
inny  
człowiek jakiś, nie mój pobłażliwy nauczyciel.  
Leoś był też na święconem. Gniewało mię to, że u państwa Pawężów  
był, jak u

siebie. Krytykował nawet jakiś szczegół w zastawie stołu... Był  
dziecinnie  
wesoły i ośmielił się ofiarować Dzidzi bukiet fiołków. A jak na nim  
leżał  
tużurek! Jakby go w nim była matka urodziła! Plecy, jak heblowana  
deska...

Przecież już choć plecy powinna była natura dać wszystkim  
jednakowe!

Przy dzieleniu się jajkiem pan Pawęza powiedział mi kilka słów  
serdecznych.

— Czego panu mam życzyć? — zapytała Dzidzia z talerzykiem w  
ręku.

Gdym już był za drzwiami mieszkania państwa Pawężów i gdym  
wstępował na moje  
schody, tysiąc odpowiedzi na zapytanie Dzidzi przyszło mi do głowy,

—  
odpowiedzi, pełnych dowcipu, delikatnych wy-

znań, poetycznych przenośni, skromnej erudycji, porównań,  
zabarwionych lekko  
pochlebstwem, wreszcie namiętności, ukrytej, jak sztylet wśród róż, w  
słowach

mglistych i przycienionych. Ale wobec żółtka, którego na koniec  
grabka pochwycić

nie mogłem, bo się w proch rozsypywało, nietylko słowa w gardle mi  
ugrzęzły, ale

i myśli rozpierzchnęły się, jak stado kuropatw po strzale. Nic wykrztusić  
nie

mogłem ani nawet nadzieć na widelec tego żółtka. Zazdrościłem  
synom Helego. Z

mięsem niezawodnie lepiej im szło, niż mnie z żółtkiem...

— Oby promocya na kurs trzeci była pochwytniejsza dla pana, niż  
święcone jajko,

— rzekła Dzidzia, śmiejąc się z moich bezowocnych usiłowań.

Ot i tyle tylko mi się od niej dostało. Jak sztubakowi, który osłował  
rok

cały.Święta wielkanocne nie poszczyli mi się. Nie pojechałem do domu, choć ojciec ofiarował mi zwrot pieniędzy, potrzebnych na podróż. Nie pojechałem, bo chciałem być z Dzidzią. Tymczasem widziałem ją godzinę w niedzielę, i koniec. Na drugi dzień mię niezaproszono do Pawężów... Niebyło nawet gdzie pójść na kawalek szynki, która, bądź, co bądź, po sumiennym poście w wielkim tygodniu ma swoje znaczenie nawet dla człowieka zakochanego. Nudy śmiertelne! Michaś wyjechał na wieś, Stefan do Lublina... Jakoś tak było wszystko głupio, że strach! Przez cały tydzień nawet lekcyi z Dzidzią niebyło z powodu przyjazdu jakiejś ciotki z córkami (niema większej plagi, jak ciotki!). Dużo mi z tego przyszło, żem nie wyjechał z Warszawy i żem ojcu nakłamał, iż się ruszyć nie mogę z powodu nadchodzących, egzaminów,

na które kuć trzeba! Dzidzi nie widziałem ani razu przez całe dni siedm. Tylko tyle pociechy, że mieszkałem z nią pod jednym dachem! Ale była w tem pociecha. Wykombinowałem był, że mój strych leży po nad mieszkaniem Pawężów, a wyobraziłem sobie, że się znajduje nad pokojem Dzidzi, i że to jest zbieg okoliczności nie bez znaczenia. Tyle jest rzeczy na świecie, których rozumem dociec niemożna! Magnetyzmy, hypnotyzmy, snggestye... Człowiek otoczony jest niewidzialnemi niemi jakiejś moralnej pajęczyny, wysnutej z umysłu i serca innych ludzi... Pajęczyna

ta czepia się jego uczuć i myśli, a on nie wie, że ją urobiła  
indywidualność  
bliźniego; ma ją za wytwór własny... Niemoże być, by miłość nie  
przędła takich  
nici. Uczucie najpotężniejsze musi mieć promieniowanie swoje,  
któremu niczem  
jest przedrzeć się przez mury i ściany, a trzy piętra przedziału są mu  
zabawka!  
Gdym samotny tęsknił w mojem mieszkaniu, zdawało mi się, że  
uczucia moje  
przestawały być tajemniczą, nieuchwytną abstrakcją, a stawały się  
czemś  
cielesnem i dotykalnem, jak druty telegrafu, dobiegające aż do osoby  
Dzidzi.  
Pajęczyna wysnuta z najlepszej mojej części duchowej, z krwi  
serdecznej,  
musiała oplątywać główkę mojej jedynej. Jedyna! Zawsze ją tak  
najlepiej nazywać  
lubiłem, chociaż czasem przymiotnik ten stawał się kłamstwem. Była  
tam na  
drugim piętrze pokojówka... Coś takiego siedziało w jej zadartym  
nosku, żeś nie  
mógł przejść koło niej... musiałem ją zaczepić! Przepraszałem potem  
zawsze  
Dzidzie w myśli tak gorąco, tak pokornie, że kamień by zapłakał! Ale  
czemu mię  
przez siedm dni trzymała zdala od siebie? Przez

siedm dni można świat stworzyć, a cóż dopiero zapomnieć trochę  
jedynej! Siódmego  
dnia zaprosiłem Józję z drugiego piętra na herbatę i przysiągłem jej,  
że  
szalałem dla jej zadartego noska. Szelma dziewczyna miała w sobie  
coś takiego...  
Po świętach musiałem odłożyć trochę na bok miłość. Zawiele czasu  
jej poświęcałem

w ostatnich dwóch kwartałach i tyle wiedziałem o prawie rzymskim i o

pandektach, co o sposobie odczytywania hieroglifów lub pieczenia mazurków.

Trzeba było na dobre zabrać się do kucia. Przecież nie na to pan Pawęza pokładał

nadzieję w ubogiej młodzieży, żebym ja miał nie zdać egzaminu!

"Proszę pana o

rękę pańskiej córki." "Ręka mojej córki nie jest dla tych, co po dwa lata na

jednym kursie siedzą."

Tysiące myśli zawsze napadało mię, jak ćmy świecę. To się nie czułem godnym

Dzidzi, to prosiłem o jej rękę... A w obec niej byłem zawsze, jak malowany; to

już było moje przeznaczenie. Nawet wiadomość o rozłące nie wykrzeszała ze mnie

śmiałości. W końcu maja Dzidzia oświadczyła mi, że się wierszy nie nauczyła, bo

była bardzo zajęta... miała masę pakowania... Jutro jechała z ciotką i jej

córkami do Krynicy. (Znowu ciotka!) Myślałem, że trupem padnę, ale ani drgnąłem.

Jakby mi ten wyjazd był zupełnie obojętny! Po lekcji, pożegnałem ją najzimniej w

świecie... jakgdyby mię jej wyjazd nic nie obchodził... byłem nawet tak

wzruszony, że się stałem zupełnie sztywny, zupełnie drewniany... Ona życzyła mi

pomyślnych egzaminów i nawet nie wspomniała o zobaczeniu się po wakacjach! Coś

mi formalnie szłochoło w piersiach, a w uchu słyszałem

wyraźnie z boleścią deklamowany wiersz: "Ledwie cię poznał, już cię żegnać

muszę" itd. A usta, jak zamurowane! Za to na schodach!... Równie  
czułego  
pożegnania, jak to, które ja jej, idąc na mój strych, oddałem, nie  
przypominam  
sobie w żadnym autorze. Trzeba samemu mieć pierś rozdartą, żeby z  
niej wyrzucić  
takie rozdzierające pożegnanie.  
Nazajutrz czyhałem na nią w bramie, dowiedziawszy się od furmana,  
na który  
pociąg miał zaprzęgać. Znoszono kufry... zdawało mi się, że w nich na  
wieki  
zamkniętem zostało szczęście moje... miały dla mnie jakiś wyraz  
trumienny.  
Nareszcie zeszyły panie, i cóż?... Dwoje ludzi, których można było  
nazwać: "on i  
ona," pożegnali się w ten sposób, że ona przez okno karety kiwnęła  
głową z  
uśmiechem, on uchylił czapki, jak człowiek, spotkany przypadkiem...  
on, który  
czyhał w bramie z bijącym sercem, i którego szczęście w kufrach  
jechało naprzód!  
Gdyby nie egzamina i nie Józia, byłbym chyba oszalał. Z egzaminami  
szło mi  
doskonale (no, i z Józią także). Miałem prawdziwe szczęście do  
profesorów...  
Czego nie umiałem, tom doblagował i tak mówiłem płynnie, zem  
każdego otumanił.  
Nie zrobiłem wstydu panu Paweży; przeszedłem z doskonałemi  
stopniami na kurs  
III-ci. Na wakacje przyjąłem propozycję wyjazdu w Płockie dla  
przygotowania  
malca do szkół i już byłem na wylocie, kiedy, wracając z wyprawy na  
Saską-Kepę,  
gdziem się był z kolegami wybrał, spostrzegłem w dziurce od klucza  
zwinieły w  
trąbkę bilet. Śpiesznie go wyjąłem i przeczytałem: "Wiktor Paweża  
ma pilny  
interes, w którymby się chciał rozmówić z panem Brzelskim."



Pilny interes! Może Dzidzia zachorowała i wzywa mię do łoża śmierci? Widziałem wyraźnie białą rękę wyciągającą się ku mnie z białej pościeli... Jak szalony, spuściłem się po poręczy na dół, zadzwoniłem na -sze piętro i wbiegłem na schody.

— Czy jakie nieszczęście? — spytałem lokaja zdyszany i pomieszany. Spojrzał na mnie, jak na waryata.

— Pan jest?

— Niema. Wyszedł. Ma zaraz wrócić.

Wiedziałem, że już od kilku tygodni nikogo z rodziny Pawężów nie było w Warszawie, i że pan musiał świeżo przybyć.

— Zaczekam.

Wszedłem do mieszkania. Oglądałem te kąty, w których tyle chwil szczęścia przebyłem, w których poznałem moją jedyną, w których się poczęła miłość moja!

Nie mogłem się obronić od myśli, że jej życie było w niebezpieczeństwie.

Oczekiwałem pana Pawęzy z gorączkowym niepokojem. Gdy zadzwonił, wybiegłem na jego spotkanie, pragnąc wyczytać wyrok z jego twarzy.

— Jak to dobrze, iż pana znajduję, — rzekł uprzejmie pan Pawęza. — Przyjechałem do Warszawy na dzień jeden... w drodze przyszedł mi projekt, którego urzeczywistnienie od pana zależy... Czy nie mógłbyś pan spędzić u nas wakacyi?

Mam w szkołach krakowskich syna, który się niestety bardzo źle uczy. Panicz... ma przewrócone w głowie... Chciałbym dla niego wpływu i przykładu pracowitego i skromnego młodzieńca, jakim pan jesteś. Będę wy-

magał, by pracował z panem przynajmniej dwie godziny dziennie. Przyjąłem z zapałem propozycję, nic nie wspomniawszy o malcu w Płockiem. Byłbym się panu Paweży rzucił na szyję. To los tego chciał! Zbliżał mię do Dzidzi gwałtem. Zapytanie o zdrowie jej paliło mi usta, alem się nie zebrał na odwagę wypowiedzenia go.

— Czy nie możesz pan być gotów jutro do drogi?.. Pojechalibyśmy razem... wszak egzamina już skończone?

— Skończone. Jesteśmy wolni.

— No, i wszystko poszło dobrze? Nie mam nawet o co pytać... Tacy porządni, pracowici chłopcy, jak pan, są pewni zwycięstwa... Zkąd u dyabła pan Paweża nabrał pewności o moim porządku i pracowitości? Podczas jego mowy różne popełniane głupstwa przyszły mi do głowy... On swoje i swoje!

Tak sobie życzył mego wpływu na Stasia, tak mię prosił, bym się nie zrażał niczem i starał się zjednać sobie przyjaźń chłopaka... Tylko czekałem, że mi powie:

— Chciałbym takiego, jak ty, mieć zięcia, młodzieńcze!

Ale się wstrzymał. Miał nadzieję, że będę chlubą kraju, o tem jednak, by miał nadzieję zostania moim teściem, nie wspomniał wcale.

Wyjechałem z nim nazajutrz. W wagonie spotkał się z jakimś starym znajomym, ja zaś", w mówiwszy mu, że byłem niesłychanie zmęczony egzaminami, wsunąłem się w kąć najciaśniejszy, zamknąłem oczy i wymyślałem rozmowy, jakie będę prowadził z

Dzi-

dzią. Powtarzałem sobie, że ją dziś jeszcze ujrzą moje oczy... że  
wybiegnie na  
spotkanie ojca i niespodzianie mię zobaczy. Co też jej twarz wyrazi  
wtedy? W  
poematach i powieściach dziewczyna w tem położeniu (jeśli kryje  
miłość, jeszcze  
niewyznaną) plonie rumieńcem, wybiega, "różowa, jak jutrzienka, "  
jest "drżąca,  
jak liść osiny. " Udam, że nie spostrzegam jej zmieszania. Chcę jej  
miłość  
otrzymać, jako dar, uczyniony mi dobrowolnie... Nie chcę  
niedyskretnie podglądać  
jej uczuć...  
Co to się człowiek namarzył w tym wagonie! Pan Pawęza, myśląc, że  
śpię,  
rozwodził się przed znajomym nad moimi nadzwyczajnymi  
przymiotami: "co to za  
przyzwoity, co za skromny ("aha, skromny!") co za porządny, co za  
pracowity  
chłopiec!" Tylkom tyle słyszał z ich rozmowy. Potem wpadli na temat  
grzyba  
drzewnego, eksykatora i gudronitu. Dałem im moje błogosławieństwo  
i nie  
słyszałem już nic więcej. Rozmawiałem sobie z Dzidzią. Rozmowy te  
były  
przesiękłe poezją, rzewnością, uczuciem, — jak leśne powietrze  
zapachem żywicy.  
Niby nie mówiliśmy sobie nic o miłości, a przecie mówiliśmy o niej  
tak wiele, bo  
w każdym słowie było znać, że o niej tylko myślimy! Jedyna moja!  
Jakie ona miała  
dla mnie słówka tkliwe, a jednak pełne dziewiczej naiwności i  
wstydlivosti!  
Gdy pan Pawęza dotknął mego ramienia ze słowami w samo ucho:  
"Na tej stacyi

wysiadamy!" drgnąłem cały. Czasem trudniej obudzić się ze snu na jawie, niż z tego, w którym jawa znika z przed naszej pamięci. Na stacyi powóz czekał na nas; w godzinę po-

tem byliśmy w Pruszyńcu. Żadnego eksperymentu z rumieńcami Dzidzi uczynić nie mogłem, bo niebyło jej w domu. Wciąż jeszcze z ciotką i kuzynkami przebywała w Krynicy. Mańka i Lula skakały z radości, zobaczywszy mię; Staś, piękny piętnastoletni chłopak, zrobił krzywą minę, dowiedziawszy się, że byłem przywiązany do jego osoby. Czuję się bardzo nieswój wobec niego, ale dobił mię widok Leosia. Co ten tu robił? Wciąż mi się plątał między nogami, i już mi się to przykrzeć zaczynało!

— Nie spodziewałem się spotkać tu kolegi — wycedził przez zęby tak protekcyjnie, jakby przemówił w bajce jego prześliczny letni garnitur do mojej, kupionej od kolegi, łataniej na rękawach kurtki. Chciałem mu odpowiedzieć, że obojętnem mi jest, czy się spodziewał, czy się nie spodziewał, ale zagryzłem te słowa i przełknąłem je zamiast mu je rzucić w twarz. Nie chciałem w obcym domu... Zostawiłem to sobie na później. Dano mi na górze pokój osobny obok pokoju Stasia, żeby mi ów wpływ na niego ułatwić. W tym samym korytarzu, naprzeciwko mnie stał Leoś, tylko jego pokój był widocznie od paradniejszych gości, z balkonem i portyerami. Musiał też mieć sprężynowe łóżko, gdyż Leoś któregoś dnia przy stole mówił, że o sto mil mija

domy, gdzie mu nie dają sprężynowego łóżka... "Unizony sługa! Żeby się całą noc z boku na bok przewracać!" Pan Paweża opowiedział Leosiowi coś na temat: "za naszych czasów, " temat, którym się zawsze posługują starsi, gdy chcą młodszemu coś nieprzyjemnego powiedzieć, ale Leoś uśmie-

chał się tylko, mówiąc, że sprężyny do niczego nie przeszkadzają, nawet do bohaterstwa.

Nie wiem, czy mnie pan Paweża miał za bohatera, czy co, ale mnie spytał, na jakim łóżku śpiam.

— Śpiam na sienniku, — odparłem.

— Otóż to, — rzekł pan Paweża, wskazując ręką na mnie, jakby mnie za przykład

stawiał, — jeżeli sprężyny nie przeszkadzają, do niczego, to siennik widocznie

pomaga młodym ludziom być porządnymi, skromnymi (znowu skromnymi!) i pracowitymi chłopcami.

Czyż ja nietylko Stasiowi, ale i Leosiowi miałem służyć za przykład? W takim

razie prosiłbym o podniesienie zapłaty za wakacje!

Z tym przykładem dla Stasia szło okrutnie ciężko. Nie mogłem się wystawiać na

niegrzeczności ze strony chłopaka... musiałem postępować bardzo oględnie...

chodzić, jak po szpilkach... Nie mogłem przecie ze skargami udawać się do ojca

ani brać za czub takiego dryblasza... Jeszcze, jak na złość, wciąż wychwalano

przed nim moje nadzwyczajne przymioty... Czułem, że to najlepszy sposób

wzbudzenia jego nienawiści, ale nie śmiałem z radami występować.  
Tylko musiałem  
już być tak doskonały, żem się sam sobą, brzydził.  
Znalazłem w bibliotece pruszyńskiej jakiś kodeks, — grubą księgę,  
której,  
przysięgam, że nikt nigdy nie przeczytał... Miałem ją, zawsze  
rozłożoną, na  
stoliku. Naturalnie, że nie byłem takim podłym, kowalem, żebym ją  
naprawdę miał  
wertować. Nie przeczytałem z niej ani słówka, a jeżelim przeczytał, to  
z taką  
uwagą, że niech tak Pan Bóg o moich

grzechach nie wie... Kodeks był od tego, żeby Stasiowi dym w nos  
puszczać. Niech  
tylko co na korytarzu szasnie, jam już przy kodeksie. Niby to i po  
nocach go  
wertowałem, aż się pan Pawęża bał o mnie.  
— Słyszałem, że pan po nocach pracujesz, — rzekł mi raz z  
ojcowskimi dźwiękami  
w głosie, — nie czyni pan tego... praca nad siły nie przynosi pożytku...  
wyczerpuje ciało, które mści się za to, odejmując umysłowi jego  
lotność i  
żywość... Widzisz, Stasiu, — dodał, zwracając się do syna, — są  
ludzie, których  
w zapale naukowym wstrzymać trzeba... Żebym ja mógł w tobie  
dostrzedz kiedy  
zapał podobny!  
Wymógł odemnie przyrzeczenie, że nigdy nad kodeksem w nocy  
ślęczyć nie będę,  
czego święcie dotrzymałem. Był dla mnie dobry za siebie i żonę!  
która mię daleko  
od siebie trzymała. Pani Pawężyna była bardzo wesoła i zawsze  
ślicznie ubrana.  
Rano inaczej, na obiad inaczej... Jakie ona miała szlafroczy!...  
Myślałem,

jakieby to było szczęście dla mnie, gdyby moja żona takie szlafroccki  
nosiła.

Niemożna nie kochać żony, tak ubranej, jak pani Pawężyna! Mąż  
musiał ją też

kochać, ale ci państwo nie mieli upodobania w swoim towarzystwie.

On zajęty

interesami lub czytający dzienniki i książki, ona z rojem gości za  
ogonem

szlafroccka lub za szarfą sukni... Mnie całe to towarzystwo

lekceważyło, aleja

miałem swego pana Pawężę i śmiałem się z nich wszystkich.

Pan Pawęża coraz bardziej drżał o moje życie. Zabierał mię często z  
sobą, gdy

jeździł na folwarki, żebym nie zanadto się zapracowywał.

Rozmawialiśmy zawsze o

rzeczach poważnych. Dyskutował ze mną, mówił o zadaniach  
życiowych, o

przyszłości narodu,

o obowiązkach jednostki względem społeczeństwa. Byłem z nim  
zupełnie śmiały, i

czasem wstyd mi było, że mu nakłamałem o tym kodeksie... Chciałem  
mu wyznać

szczerze, iż przez cały rok nic nie robiłem

i kułem dopiero na egzamin, ale nużby go to odwiodło od ofiarowania  
mi ręki swej

córki?

Dzidzia miała powrócić, lada dzień, gdy nagle przyszła wiadomość, że  
którejś z

jej kuzynek kazano z Krynicy jechać do Ostendy. I dla Dzidzi Ostenda  
miała być

wyborna. Pojechała i ona.

Otóż to Judzkie nadzieje! Do Pruszyzna leciałem, jak do rajy,

tymczasem

zamieniłem tylko jednego sztubaka na drugiego, nic więcej... Tamtego

przynajmniej mogłem być drzeć za uszy, bom sobie to wymówił, a z tym paniczem musiałem jak z jajkiem się obchodzić! Leoś to wyjeżdżał na kilka dni, to wracał, ale więcej był w Pruszyńcu, niż gdzieindziej. Traktował mnie zawsze przez nogę. W Warszawie bał się mnie, wiedząc, że mam za sobą plecy kolegów. Teraz czuł przez skórę, że w obcym domu nie będę chciał z nim zadzierać. Ton jego stał się jeszcze nieznośniejszy, gdy pan Paweża wyjechał na parę tygodni do swych dóbr galicyjskich. Bez mego obrońcy uczułem się naprawdę osamotnionym, tembardziej że Leoś potrafił Stasia przeciw mnie nastroić. Póki był ojciec, póty miałem rzeczywiście wpływ na chłopca, i zdawało mi się, że go osiodłam naprawdę. Byłbym to niezawodnie uczynił, gdyby nie Leoś. Prawie głośno wymawiał chłopakowi, że ślęczenie nad szpargałami czyni plecy wypukłymi i dobre jest dla biedaków, co muszą jeść chleb z nauki. Staś polował, jeździł konno, do lekcji nigdy przygotowany nie przychodził. By-

łem w Pruszyńcu, jak błędna owca. Bawiłem się czasem z dziewczynkami, rozmawiałem na migi z Francuzką, która słowa po polsku nie umiała, resztę czasu włóczyłem się po lesie i polach. Wybiła nareszcie godzina powrotu Dzidzi z ojcem, z którym się w Krakowie zjechała. Była zawsze szczupła i wątła, ale na bladej twarzyczce leżały dwie



cudne mgławice rumieńca. Wydało mi się, że Dzidzia ogromnie  
wyładniała... Jak  
 się też rodzina cała cieszyła temi rumieńcami! Matka nie mogła od  
 nich ust  
 oderwać... Pieszczono Dzidzię, a ona oddawała pieszczoty. Gniewało  
 mie tylko, że  
 w jej postępowaniu z ojcem był cień sztywności, gdy w jej  
 uwielbieniu i  
 czułościach dla matki miary nie było. Niedosyć jej było pocałunków  
 dla rąk i  
 kolan; całowała jeszcze rąbek sukni i żabot stanika.  
 Zaczęły się dla mnie znowu rajskie chwile. Dzidzia była jedyna do  
 wymyślania  
 różnych spacerów, wycieczek, przejażdżek, wypraw... Widywały nas  
 lasy, knieje,  
 doliny i parowy. Codzień nowy projekt! To na grzyby to na rydze, to  
 na orzechy,  
 to na kartofle pieczone, do których brało się sól, i które smakowały  
 nam, jak  
 żadne. Furman Wojciech umiał ja piec kolosalnie... Po kartoflach  
 jedliśmy  
 jabłka, gruszki, śliwki, przywiezione w koszyku... Raj, istny raj ! Nie  
 skarzę  
 się na moja warszawską miłość, zrodzoną z tłumaczeń, deklinacji,  
 konjugacji...  
 Miała i ona. swój urok, choć musiała się zadawać posadzką salonu  
 lub gabinetu,  
 asfaltem chodnika, upalnym powietrzem teatralnej sali... Ale o ileż  
 była  
 piękniejszą, żywszą, bujniejszą na mchach pruszyńskich lasów, na  
 słomie  
 drabiniastych wozów, na trawie łąk, w szpa-

lerach ogrodów... W Warszawie czuła, że ma skrzydła, ale trzymała je  
 złożone, tu  
 rozwinęła je całe... Jeżeli kochać, to tylko na wsi w lecie! Miłość bez

słonecznego krajobrazu, bez letniego powietrza i ciepła, — to tylko  
parodya  
miłości!

Co to była za rozkosz żyć ciągle przy boku Dzidzi; oczekiwać rano,  
kiedy się  
ukáže przy śniadaniu, kłaniać się jej zdala, słyszeć jej szczebiot,  
patrzeć bez  
ustanku w okno podczas godzin lekcyi ze Stasiem, czy się jej sukienka  
nie ukáže  
w ogrodzie, przy obiedzie mieć ją naprzeciwko siebie, a potem aż do  
wieczora na  
spacerze w lesie ciągle z nią!... Człowiek się do dobrego okrutnie  
łatwo  
przyzwyczajają. Już nie rozumiałem przechadzki bez Dzidzi ani godzin  
poobiednich,  
spędzonych zdala od niej. Gdy czasem z matką wyjechała w  
sąsiedztwo, chodziłem,  
jak owca, odbita od stada, miejsca sobie znaleźć niemogąc. Czasem  
panie te  
wracały późno; ja na ganku czekałem, choćby do północy. Dopiero  
gdy usłyszałem  
turkot powozu, wjeżdżającego w bramę, uciekałem, co tchu, na górę.  
Raz, pamiętam, nawalny deszcz spotkał nas na łące. Wiatr w same  
oczy, popłoch  
między towarzystwem ogromny! Wszyscy drżeliśmy o Dzidzię, której  
zdrowie było  
tak wątłe.  
— Bierz pan parasol i Dzidzię, — zawołała na mnie pani Pawężyna,  
— nikt z nas  
nie ma siły utrzymać parasola... prowadź ją pan conajprędzej do  
domu!  
Rozpiąłem parasol; mała rączka wsunęła się pod moje ramie, i  
poczęliśmy, co  
tchu, uciekać. Nawałnica była krótka. Zmieniła się niedługo w gęsty  
ciepły  
deszcz. Przestaliśmy biedz i śmieliśmy się, jak.

dwoje dzieci, brodząc po błocie. Było to bardzo zabawne i przyjemne.

Rozpięty

parasol nad dwiema głowami, zbliżającymi się ku sobie, by  
jakkąjmniej dostać

deszczu, robił mi takie wrażenie, jakgdybym Dzidzię miał pod  
własnym dachem,

jakgdyby była moją. Reszta towarzystwa była daleko, nas tylko  
dwoje, nad nami

parasol, jak rozpostarte skrzydło opiekuńcze...

— Myślałam podczas tego szalonego wiatru, — rzekła mi Dzidzia, —  
jakby to było

zabawnie, gdyby nas był parasol uniósł, jak balon, gdzie wysoko.

Przyszedł mi na myśl plafon Makarta, w którym dwoje istot ludzkich  
leci tak w

powietrzu, jakgdyby ptasie miały skrzydła, i aż mi się niedobrze  
zrobiło z

zazdrości. Czemuż ja tak z Dzidzią pofruwać sobie nie mogłem!

— Szczęśliwe ptaki, — rzekłem. — Jakże nasze ramiona są ubogie,  
bezsilne,

brzydkie wobec skrzydeł ptasich!

— Bo też nam tylko skrzydeł brakuje. Gdy chcemy stworzyć istotę  
najdoskonalszą,

dodajemy człowiekowi skrzydła, i od razu robi się z niego anioł.

Mimowoli przycisnąłem mocniej rączkę Dzidzi pod ramieniem, bo  
był dla mnie na

niebie i ziemi jeden tylko anioł, — ona.

Doszliśmy do domu, zabłoceni po uszy, ale weseli i szczęśliwi.

— Z panem nie bałabym się nigdy żadnego niebezpieczeństwa, —  
rzekła mi Dzidzia.

— Czuje, żeś pan nietylko silny, ale i odważny... a może się mylę,  
może tylko

silny?... Siła i odwaga to są dwie różne rzeczy...

Od tej chwili marzeniem moim się stało dać Dzidzi dowód odwagi,  
taki dowód, by

wątpić nie mogła. Wszakże w naszym wieku, w którym wszystkie trudy, wszystkie prace i ciężary wzięły na siebie maszyny, niema miejsca na odwagę. O wielkiem wezbraniu wód i wylewie nie można było myśleć w Pruszyńce; rzeczulka bez nazwiska płynęła sobie przez łąkę tak spokojnie, jak życie narodów, niemających historii... O rozbójników było trudno... Dobrze te czasy minęły! Nasz wiek, skarłały we wszystkim, wydaje więcej złodziei, niż rozbójników, i niema prawdopodobieństwa, by Janek Rozpruwacz zabłądził aż do nas... Pozostawał tylko pożar. Wynieść Dzidzię z płomieni z nieco opalonymi warkoczami... nie, to było za wielkie szczęście! Prześladowało mię jednak to marzenie... Widziałem w niem siebie wśród płomieni, z Dzidzią zemdloną na rękach... Może byłoby lepiej, by nie zemdląca, by podziwiała wyraz męskiej odwagi na mojem obliczu?... Ale cóż, dni mijały, a nawet o najlżejszym pożarku słyhać niebyło. W okolicy się paliło, a u nas nie! Robiłem jednak, co mogłem, by Dzidzi, choćby powolnie, wszczepić przekonanie o mojej odwadze. Wdrapałem się raz po jemiółę dla niej na tak wysokie drzewo, że aż błagała z dołu, bym nie szedł dalej (o mały włos nie spadłem); przeskakiwałem rowy, rzeczulkę, płonący stos gałęzi. Raz znowu, gdy furman piekł kartofle w lesie, a konie, przestraszone, nie wiem już czem, ruszyły nagle z kopyta, rzuciłem się, jak szalony, i stanąłem przed staremi szkapami w takiej postawie,

jakgdyby były ognistemi apokaliptycznymi bestyami. Dzidzia krzyczała, że zostanie

stratowanym, przejechanym! Byłbym stare koniska, uściskał za to, że im do głowy taki przyszedł pomysł! Tym razem sprawa oparła się aż o pana Pawężę, który do naszych wypraw nigdy nie należał. Opowiedziano mu przy herbacie mój czyn bohaterski. Z początku nic nie rzekł, tylko spojrzął na Stasia, potem na Leosia, wreszcie na mnie.

— A jakże się inni młodzi ludzie zachowali przy tym wypadku? — zapytał poważnie.

— Staś krzyczał na Wojciecha, by biegł za końmi, a pan Leon zachował się zupełnie biernie, — rzekła Dzidzia.

Pan Pawęża pokiwał głową.

— Chęć wyciągania gruszek z popiołu cudzemi rękami i obojętność — cechy egoizmu

i tchórzostwa, — rzekł ze drzeniem w głosie, dziwnem przy rozmowie o drobnym

wypadku bez żadnych złych następstw, — z siebie dla innych nic... a żądanie dla

siebie wszystkiego od innych...

— Chodziło tu tylko o konie, — rzekła pani Pawężyna, — na wozie nie było nikogo.

— Odwaga prawdziwa nie liczy się z tem, jakiej miary ma być oddana usługa;

oddaje się ją, nie pytając, czy ocala parę koni tylko i wóz.

Spuszczałem oczy skromnie, i przykra mi była ta rozprawa przy stole, a

jednocześnie rosłem i radowałem się wewnętrznie, że wobec Dzidzi pasowano mię na bohatera.

— Kiedy ja prawdziwie nic nie zrobiłem, — rzekłem błagalnie, — nie mam najmniejszej zasługi... to taka mała rzecz zatrzymać parę koni... doprawdy na to nawet odwagi niepotrzeba.

— A gdyby były pana stratowały? — zawołała Dzidzia.

— Prawdziwa odwaga jest zawsze skromna, — rzekł pan Pawęza, — ma sobie za proste spełnienie obowiązku czyni najznamienitsze. Taki dzielny, a skromny młodzieniec, jak pan...

Co on z tą skromnością zawsze?... Staś i Leoś patrzyli na mnie, jak na Judasza,

a ja naprawdę nietylko na skromnego, ale na wstydliwego musiałem wyglądać, takem

oczy w talerzu utopił. Nie wiem, dla czego wydało mi się, że naprzeciwko Dzidzi

siedzi nie bohaterski Metek Brzelski, ale zapłakana figura w koronie i z berłem,

przedstawiająca w książce, z której Mańka i Lula uczyły się historii, Bolesława

Wstydliwego. Jakoś bokiem dostrzegłem, że Leoś ze Stasiem pokazywali mię sobie

wzrokiem i śmieli się. Dzidzia stanęła w mojej obronie.

— Bo to bardzo przykro, — rzekła, — gdy kosztem naszej odwagi ktoś inny wychodzi na tchórza.

Rzuciłem jej spojrzenie, pełne wdzięczności. Ona mię rozumiała!

Niechby się był

cały świat śmiał ze mnie, byle ona wiedziała, że jestem odważny, a jednocześnie

wspaniałomyślny... nie lubiący upakarzać innych blaskiem moich czynów.

Wogóle uważałem, że Dzidzia była szlachetna, szczerą i prawdomówną. Była

rozpieszczona, kapryśna, czasem despotyczna, wszelki fałsz jednak,  
wszelkie  
udawanie, wszelkie kłamstwo oburzało ją do najwyższego stopnia.  
W Pruszyńce kursowała po rękach jakaś powieść, w której bohaterka,  
by pociągnąć  
bogatego konkurenta, udaje zajęcie się ubogim chłopcem.

— Nie cierpię tej Ludwiki, kiedy ona taka podła! — zawołała Dzidzia  
z

oburzeniem, gdy się dowiedziała o tych manewrach bohaterki.

— Podła? dlaczego?

— Podła, kiedy kłamie miłość dla Wacława, by złapać bogatego  
Edwarda!

Była tak oburzona, że jej łagodne oczy przybrały wyraz drapieżny.

— Kobiety są czasem zmuszone do kłamstwa, — rzekłem

pojednawczo, — niemogą

naprzykład wyznać miłości, choćby kochały... muszą udawać

obojętność... niema

zwyczaju, by pierwsze...

— Jabyś zaraz powiedziała!... powiedziała byś pierwsza: możesz mnie  
kochać, to

dobrze, to się kochajmy; a nie możesz, to uciekaj odemnie, bo ja  
wychowana byłem

w wacie wśród gorących baniek i pieścizot całej rodziny i nie mogę  
znieść, by

mnie nie kochano, kiedy ja kocham.

— Pani byś miała odwagę?

— To na cierpienie w milczeniu, na udawanie dumnej obojętności  
trzeba odwagi;

ale powiedzieć komuś: "chcesz mnie kochać, czy nie?... " cóż to  
wielkiego?

Czy ona powie mi kiedy: "chcesz mnie kochać czy nie chcesz?" Zabiła  
mi klin w

głowę obietnicą powiedzenia tego człowiekowi, którego by kochała.

Czasem wśród

jakiego grzybobrania lub spaceru, gdym ją nagle spotkał lub gdym ją  
zobaczył,  
idącą ku mnie, zdawało mi się, że właśnie wybiła godzina tego  
zapytania, że za  
minutę, za sekundę usłyszę owo: "chcesz mię kochać czy nie chcesz?"  
Czułem, że  
blednę, jak trup, serce mi biło, nogi się podemną ugi-

nały, a ona zapytywała mię najspokojniej: czy dużo rydzów  
znalazłem, lub  
wyznawała mi, że chodziła tak dużo, iż ją już nogi bołą... Oddychałem  
swobodniej, gdy minęło niebezpieczeństwo. Dziwna rzecz! Pragnąłem  
tej chwili,  
jak zbawienia, a gdy już, już z jej ust usłyszeć miałem zapytanie: czy  
chcę, czy  
nie chcę jej kochać, radbym był pod ziemię się schować...  
Raz zesłała mię tak niespodzianie!... Pojechała z matką w sąsiedztwo,  
a ja z  
uczuciem osierocenia w sercu poszedłem na łąkę nad rzeczulkę,  
obrosłą wierzbami,  
ze Słowackim w ręku. Czytałem i deklamowałem przez jaką godzinę;  
potem zacząłem  
śpiewać na całe gardło, i to same miłosne piosenki. Darłem się, jak  
kanarek  
starej panny. Usiadłszy pod wierzbą, o której pień się oparłem,  
zapatrzony w  
płynącą wodę, wyznawałem miłość na wszystkie tempa i tony...  
wyrzucałem  
zdradę... zapytywałem, czy pamięta... Naturalnie, że przed oczami mej  
wyobraźni  
stała Dzidzia, i, gdyby to imię miało trzy sylaby i kończyło się na ina,  
byłbym  
je z pewnością użył zamiast Haliny w pieśni Jontka, którą właśnie  
rzucałem echem  
i wiatrom z całym szarpiącym bólem niepodzielanej miłości.  
Widziałem Dzidzię w



sukni ślubnej u boku Leosia i wypowiedziałem: "przyszedł panicz, i dla niego pogardziłaś mną!" z takim szalem tęsknoty i boleści, że ażem ręce wyciągnął przed siebie, jak aktor w piątym akcie opery. Nie wiem, dlaczego coś mię tknęło... Obróciłem się: Dzidzia stała o trzy kroki, dusząc się od śmiechu.  
— Ależ pan masz śliczny głos, — zawołała, —

ja tu już stoję oddawna i słyszałam wszystkie wyznania... Ach, taka jestem ciekawa...  
Zmieszanie moje nie miało granic... Może ona się domyślała, że ja ją z Leosiem...  
— Przepraszam, — wyjąkałem, — nie wiedziałem... myślałem.  
— To ja niedyskretna byłam. Wróciłyśmy z mamą, niedojechawszy do Wierzchowiny, bośmy się dowiedziały, że tam pan chory, i po doktora posłali. Wysłałam do ogrodu, słyszę, jakiś śpiew... poszłam za dźwiękami... Ach, taka jestem ciekawa!  
Ochłonałem nieco i zapytać zdołałem:  
— Czego?  
— Komu pan takie wymówki i wyznania czyniłeś. Bo pan o kimś myślałeś... No, powiedz mi pan imię... tylko imię!...  
Myślałem, że przyszła moja ostatnia godzina.  
— Tylko imię!... nic więcej! — powtarzała Dzidzia.  
— Niema żadnego imienia.  
— Jaktó, niema żadnego imienia? Jest na świecie panna bez imienia?  
— Kiedy ja o żadnej pannie...  
— Co?... więc wdowa?  
— Kiedy ja, daję słowo... tylko tak sobie... taką mam nieszczęśliwą manię... ani mi przez głowę... że pani słucha...

— E, jaki pan niedobry!... Chciałam tylko wiedzieć imię... Gdzie mieszka?... W Warszawie?

— Nie, pani... doprawdy... ja się wcale...

— Nie? Nie kochasz się pan?

— Nie... wcale nie...

— Ani troszeczkę?... Ani odrobiny?

— Ani odrobiny!

Tak, to ja bluźnierstwo powiedziałem w oczy mojej ukochanej, mojej jedynej,

mojej najmilszej! Powiedziałem jej, że się niekocham ani troszeczkę, wtedy, gdy

upragnione przezemnie wyznanie wywoływała prawie sama!... Tyle miesięcy marzyłem

o chwili, w której powiem: "kocham, " a teraz zabijałem

własnoręcznie wszystkie

nawet domysły, jakie się w jej duszy zrodzić mogły! Byłem skończonym idyotą!...

musiałem to sobie przyznać.

— Ale pan doprawdy jesteś skromny, jak fijołek, — wołała Dzidzia.

— Tatuś miał

racyę... Masz pan taki ładny głos i tyle piosenek "W repertuarze, a my nic o tem

nie wiemy... Oho! będziesz pan teraz śpiewał, aż miło.

Odtąd kazała mi śpiewać na spacerze i razem ze mną śpiewała.

Urządzaliśmy

chóry... Mańka i Lula piszczały także, Staś fałszował... Tylko Leos z góry

traktował naszą muzyczne wybryki...

A! zapomniałem powiedzieć, że raz zbeształem Leosia... Pisałem wiersze

wieczorem, aż on włązi... w pantoflach, w kurtce rannej...

— Kolega pewnie na termin wracasz do Warszawy? — zagadnął mnie.

Byłem zły na niego, więc odrzekłem szorstko:

— Nie wiem jeszcze.

— Bo ci, co się starają o Stypendya... ci, co muszą sobie znaleźć korepetycyje... wreszcie nikt od kolegi żądać nie może... kolega pewnie będziesz ztąd zmykał...  
— Nie wiem jeszcze, jaka mi, co do tego, przyjdzie fantazyja...

— Bo jabym miał interes do załatwienia w Warszawie i prosiłbym kolegi...  
— Ee! — zawołałem, — nie jestem z kolegą w takich stosunkach, byś sobie kolega pozwalał obarczać mię interesami! Kolega nie masz nic do roboty, a masz pieniądze, jedź więc sobie sam do Warszawy i sam załatwiaj swoje interesa!  
Palnąłem w stół pięścią, aż rozłożony kodeks jęknął. Leoś zrobił się pokorny, począł przeproszać... Wpadłem w zapał i wyłajałem go. Powiedziałem mu, że jest tchórz, że jest blagier, że jest próżniak, że jest głupi i nadęty. Odtąd stał się pokorny ze mną i miękki, jak rękawiczka. Bał się, bym go nie polecił kolegom... tembardziej że termin powrotu do Warszawy zbliżał się rzeczywiście... Łaził za mną, starał się o mnie, jak o pannę, wpraszał się do poufałej rozmowy ze mną i raz wprowadził ją na temat kobiet. Dowiedziałem się, że nie lubił panien, że wolał mężatki, z którymi o wszystkim mówić można, nieobwijając słów w bawełnę, i oświadczać się bez obawy księdza i ślubnego pierścionka.  
Termin wyjazdu zbliżał się jednak rzeczywiście. Czulem, że trzeba mi było wracać do Warszawy.  
— Pan wyjeżdża? — rzekła mi Dzidzia: — Tak prędko? Szkoda!

Chciałem zawołać: "Dzidziu, aniele!" ale się tylko zaczerwieniłem,  
potem  
zbladłem.

— Jeszcze tyle orzechów w lesie... tyle piosenek niedośpiewanych...  
ale jedź

pan... Na przyszłe wakacje dozbieramy orzechy i dośpiewamy  
piosenki...

Pan Pawęza doskonale zrozumiał powody mo-

jego pośpiechu. Młody człowiek, tak obowiązkowy, tak porządny i tak  
skromny, jak

ja, musiał być nietylko na termin, ale przed terminem w Warszawie.

Jakaż smutna

musiałaby być przyszłość kraju, gdyby nie było młodych ludzi,  
pragnących, być

przed terminem...

Zwrócił się do Leosia:

— I pan zapewne...

— Ja? — zawołał Leoś ze śmiechem. — a ja cobym robił teraz w  
Warszawie? Toż to

nudy śmiertelne!... Wszyscy jeszcze na wsi... Co innego kolega...

— Dlaczego co innego? — zapytał poważnie pan Pawęza.

— Bo potrzebuje znaleźć korepetycje... za mieszkanie też pewnie  
przez wakacje

nie płacił, więc

o jakimś locum pomyśleć musi... Jest w innych warunkach.

— Ja panu powiem, jakie są te inne warunki, — rzekł pan Pawęza,  
któremu wargi

się trzęsły, — inne warunki leżą w nim samym! On nie lekceważy  
obowiązków, nie

rządzi się błagą, gdy chodzi o naukę...

Oj oj, oj! to już było całkiem grubo, ale Leoś przełknął, jak pies  
muchę... ani

się zmarszczył, tylko sobie ze Stasiem znaczące spojrzenie rzucili.

Nadszedł więc mój ostatni dzień z Dzidzią! Trzeba już ją było  
żegnać, a

zdawało mi się, że tylko co przyjechał i nic się z nią nie nabyłem...  
to znowu,  
że ją znam od wieków i nigdy z nią być nie przestawałem... Nie, ja z  
nią byłem  
zakończony  
i zamało! Cóż znaczyło dla mojej łakomej, dla mojej żarłocznej  
miłości te  
głupich kilka tygodni? Łaziłem za nią, jak cień, całe popołudnie.

— Wracamy do Warszawy dopiero w końcu października, — rzekła  
mi, — dopiero za  
jakie sześć czy siedm tygodni zobaczę pana.  
— To tak długo? — jęknąłem.  
— Proszę tylko godzinę dziennie zostawić dla mnie... obiecuję, że się  
będę  
dobrze uczyła... Tego roku podobno mam już bywać w świecie, ale  
lekcji moich nie  
daruję.  
— Pani... pani polubiła... polubiła język niemiecki?  
Znowu mi się wydało, że mi powie: "Chcesz mię kochać czy nie  
chcesz?" i aż mi  
pociemniało w oczach.  
Dzisiaj spojrzała na mnie i roześmiała się.  
— Ach! jaki pan zabawny, — zawołała. Wieczorem po rozejściu się  
wszystkich,  
czując, że nie będę mógł spać, wyszedłem do ogrodu. Miałem tę  
nadzieję, że  
Dzisiaj będzie chciała zaczerpnąć jeszcze świeżego powietrza... że ją  
spotkam...  
Dostrzegłem rzeczywiście jakiś biały cień... Była to Francuzka, która  
na migi mi  
pokazała, że ja kocham Dzidzię. Serce przyciskała rękami, wznosząc  
oczy do góry,  
potem dotknęła mojego lewego boku i, na własnej głowie ukazując  
włosy,

przedłużała je gestem wymownym, mającym wystawić warkocze  
Dzidzi.

Ot była już i plotka gotowa! Usiłowałem wytłómaczyć to Francuzce,  
wyciągając

język i robiąc gest, jakgdybym go nożyczkami obcinał. Ona trzepała  
coś po

francuzku, aż r warczało w jej gardle. Bronilem się energicznie od jej  
przyrpuszczeń. Ruszałem ramionami, trząsałem głową przecząco,  
pokazywałem, że

Dzidzia dziecko, że ja lubię wysokie

kobiety... Takem się wypierał, jak jakiej zbrodni... Zdaje mi się, iż  
Francuzka

zrozumiała, że ją wolałem od Dzidzi, bo wzięła mię pod rękę i  
okrutnie

wzdychała, chodząc ze mną po alejach ogrodu. Z nią nic a nic nie  
byłem

nieśmiały. Wskazywałem na serce, przyciskałem jej ramie...

przypominałem sobie,

w jaki sposób wyznaje się miłość w balecie, i przy blaskach księżyca  
wykonywałem

przed Francuzka całą miłosną mimikę baletniczą. Odprowadziłem ją  
do drzwi

werandy i myślałem sobie, że porozumienie się na migi w rzeczach,  
tyczących się

serca, wcale trudnem nie było. Rozmówże się tu na migi w interesie  
lub w jakiej

sprawie naukowej! Ale gdy chodzi o miłość idzie to zupełnie dobrze.

Nazajutrz już opuściłem Pruszyn. Okrutnie tęskniłem za Dzidzią.

Choć miałem

pełną kieszeń, nic mi miłem nie było. Chodziłem po Warszawie, jak  
po pustyni lub

cmentarzu... Cmentarzem było moje\* własne serce!

Koledzy ściągali powoli. Nie wiedzieli nic, że ja byłem u Pawężów na  
wakacjach,

nie w Płockiem. Wypytywali mię... Powiedziałem, że uczyłem  
chłopaka, ale nie w  
Płockiem... gdzieindziej...

— Ale gdzież?

— No w Lubelskiem.

— U kogo?

— U Pawężów.

Dopieroż krzyk! Utrzymywali, że ich oszukiwałem, że byłem chytry,  
jak lis,

fałszywy jak kot... że ten mój uczeń miał warkocze do ziemi...

— No, i cóż?... no, i cóż? — wołał Michaś.

— Cóż ma być? Nic!

— Zawracieś jej głowę?

— Ale dajcież pokój!... nawet jej niebyło... była z ciotka w Krynicy i  
Ostendzie..., romansowałem trochę z Francuzką...

— Aha! To najlepszy sposób uczenia się obcego języka. Słowo daję,  
na takie

lekcye przystałbym odrazu! Czy i tu w Warszawie będziesz je brał?  
Zrobiłem minę pogromcy serc niewieścich i zamknąłem się w  
wymownem milczeniu.

— Ładna?

— Ho, ho, ho!

— Słowo daję, ten Metek w babskim czepku się urodził! — Umyślnie  
mu do kraju

zwożą Francuzki... Podobno maja wściekły temperament?...

— Ho, ho, ho!

— Pokażesz nam ją?

— Może... nie wiem...

— Co? jesteś zazdrosny? A! to doskonale, będziesz się z nami w  
zazdrość bawił!

O ile z początku paplałem wciąż o Dzidzi, o tyle teraz kryłem się z  
moją

miłością. Byłbym chciał, by nikt nigdy nie wymówił imienia mojej  
ukochanej.

Rzuciłem Francuzkę na pastwę ciekawości kolegów, żeby mi już  
mojego skarbu nikt  
nie dotykał. Żyłem wspomnieniami: słowa jej, wejrzenia, chowałem w  
sercu, jak  
relikwie, a tęskniłem!...  
Mój dawny pokoik znalazłem wynajęty; zamieszkaliśmy we trzech z  
Michasiem i  
Stefanem. Mieliśmy dwa pokoiki - Wygodne i ciepłe, ale mi  
brakowało niezależności  
i swobody samotnego mieszkania. Całe szczęście, że wewnętrzne  
życie człowieka  
może być taką tajemnicą, taką wyłączną jego własnością!

Na pozór nie mieliśmy żadnych między sobą sekretów, i zdawało mi  
się, że znam  
doskonale Michasia i Stefana, a oni tylko mnie i moich myśli nie  
znają. Ale się  
może mylił... może i oni taili co przedemną? Znałem ich miłości i  
miłostki...  
Czy nie był to jednak jaki trop fałszywy, jak moja Francuzka?  
Opowiadałem o niej duby smalone. Niby to była z południa Francyi, i  
tak wściekle  
namiętności płynęły w jej żyłach, iż żadna Polka o tem wyobrażenia  
dać nie  
mogła... Co gdzie zasłyszałem o tego rodzaju objawach,  
przypisywałem mojej  
Eufrazyi (ochrzciłem ją tak sam). Gdy Pawężowie wrócili, miewałem  
niby z nią  
szadzki tajemne. Byłem dzieckiem wsi i potrzebowałem ruchu,  
wybiegania się...  
Szedłem więc czasem gdzie daleko, choćby do Łazienek, a wracałem  
niby to ze  
szadzki. Idąc we trzech, minęliśmy raz jakąś piękną brunetkę, która  
nam rzuciła  
strzałę ognistego spojrzenia. Trąciłem towarzyszy: to moja Francuzka!  
Obejrżeli



się za nią. Michaś przysięgał, że poznałby był odrazu, iż to nie Polka i nie

Warszawianka... że pachniało od niej południem... Prowancyą...

— Co, oliwą? — zawołał Stefan.

Widocznie jednak niedobrze umiałem kłamać. Nie zachowałem artystycznej miary.

Przeholowałem, może w tej namiętności, czy co, dość że się koledzy spostrzegli,

iż ich nabierałem. Miałemże ja za swoje! Odebrali mi wotum

zaufania, w gruncie

wszakże byli kontenci, że ich przez całe trzy miesiące bawiłem tą Francuzką.

Opowiadali innym kolegom... nosili się z moją historyjką!...

Dawałem znowu lekcye Dzidzi i stawałem się

jakby domownikiem Pawężów. Pod okiem pana przepisywałem jakies' o stosunkach

rolnych artykuły, które miały być drukowane w Niwie. Pan mię tak lubił, że mię

formalnie ciągnął do siebie. Zapraszał na herbatę, nawet ze mną w dyskusye

wdawać się lubił. Chciał mieć wpływ nademną, a przezemnie na moich kolegów. U

Pawężów czułem się coraz więcej, jak u siebie, tylko mi moja Dzidzie świat

okropnie odmienił. Nie nosiła już warkoczy, spuszczonech na plecy; włosy jej,

kunsztownie ułożone, piętrzyły się na głowie, a fryzyer, który dał model

uczesania, wyciął kilka ogromnych promieni, niemogąc dać sobie rady z. temi

włosami. Nosiła teraz suknie dłuższe; wszystkie od Hersego... coś od niej wiało

dorośla panną i wielką panią. Nie była to już moja malutka Dzidzia...

Czułem, że

między nią a mną były całe przepaści, całe łańcuchy gór... Już wcale się nie  
spodziewałem, że mi powie: "chcesz mię kochać czy nie chcesz?" O  
nie, ona nie  
zechce mię kochać! ani być przezemnie kochaną! Ona. ma takich  
eleganckich  
kawalerów, takich Wychuchanych gagatków wkoło siebie...  
Ofiarowała mi tylko  
swoją przyjaźń i była dla mnie dobra, jak siostra. Mówiła mi  
wszystko: i o owym  
fryzyerze, wycinającym promienie jej włosów; i o stanikach, który  
dobrze leżał,  
a który nie; i o paltocie; i o krótkim futerku; i o jakimś panu  
Pawrowskim,  
który tańczył walca, jak anioł... nawet mnie się radziła, czy na bal  
miała  
włożyć niebieską, czy różową suknię, i, choć Herse utrzymywał że do  
bladej  
twarzy żywszy kolor stosowniejszy, włożyła niebieską, bom ja za  
niebieską  
głosował... Wszystko, wszystko mi mówiła...

Przychodziła czasem do gabinetu pana, gdzie pisałem, siadała na  
fotelu, nóżęta  
wyciągała przed siebie, ręce kładła na poręczach, i rozmawialiśmy,  
rozmawiali!... Często nawet bardzo poważnie. Pytała mię o rodziców i  
rodzinę, o  
siostrę... Spowiadałem się przed nią, jak przed księdzem. Wiedziała i  
o  
Michasiu, i o Stefanie, i o różnych przezwiskach, któreśmy sobie  
dawali, i o  
pani Bulskiej. Wypytywała się, cośmy mieli na obiad... A śmieliśmy  
się!....  
Dzidzie aż czasami boki bolały.  
Opowiadałem jej, jaki sposób miał Stefan na odbieranie z domu  
szynek, serów i

masła... pyszności masła! Poprosto pisał do matki, że okropnie za domem tęskni.

Cały list napelniał tęsknotą... tęsknił na czterech stronicach! No, i czekał.

Skutek był zawsze niezawodny. Wkrótce odbierał fracht na posyłkę, i wnoszono do

jego mieszkania skrzynkę, zawierająca zapasy. Gdy się kończyły, wołaliśmy na

niego, by znowu tęsknić zaczynał. Naśmiała się też raz Dzidzia z rozpędu

Michasia, który, opowiadając pani Bulskiej o stosunkach amerykańskich, mówił, że

z powodu trudności dostania służących białych, rodziny posługują się często

chińczykami, którzy wszelkich, nawet kobiecych zajęć się podejmują. I tak w

niejednym domu "ogrodnik — Chińczyk, kucharz — Chińczyk, panna służąca —

Chińczyk, niańka — Chińczyk, szafarka — Chińczyk" mamka — Chińczyk!"

— Jezus Maryja, cóż tam za naród! — zawołała zdumiona pani Bulska. — Pan mówi, że

i mamka...

Raz o małym się do nóg Dzidzi nie rzucił. Pisałem w gabinecie, a raczej

rozmawiałem z Dzidzią,

gdy wbiegła Mańka wołając, że "mama każe Dzidzi położyć się spać przed balem."

— Dziesięć razy wołałabym tak sobie tu z panem rozmawiać, niż iść na bal, —

rzekła Dzidzia z miną rozpieszczzonego dziecka.

Rzuciłem jej spojrzenie, przez które wylewała się cała wdzięczność mojego serca.

— Ja bardzo lubię tańczyć, — dodała, — ale czasem jestem taka leniwa...

I wyciągnęła nóżęta przed siebie, jak kotka, grzejąca się przed płomieniami.

— A pan Pawrowski? — rzekłem, — wszak pani masz z nim kotyliona?

— Prawda... Pan Pawrowski... Dla niego tylko jadę na ten bal... Inaczej

zbuntowałabym się i nie pojechałabym.

Patrzała mi prosto w twarz. Sztylet zazdrości ugodził mię w samo serce.

Opuściłem wzrok na zapisany arkusz, ale gryzłem usta, i wszystko mi się przed oczami dwoiło.

— Bo on nietylko dobrze tańczy... on także doskonale rozmawia...

Czoło upadło mi na trzymającą pióro rękę. Zdaje mi się, że jęknął cicho.

— Co panu jest? — zawołała Dzidzia.

— Nic, nic... to tylko... to tak... zrobiłem omyłkę w przepisywaniu!

— Cóż kotylion? — spytałem nazajutrz grobowym głosem.

— O, kotylion!... — rzekła z jakimś zagadkowym wyrazem, — to cała historia...

kiedyś się może pan dowiesz...

— Co? — krzyknąłem, — oświadczył się pani? Czułem, że blednę... trząsnę się cały...

— Kotylion się oświadczył!

Dzidzia śmiała się jakoś nienaturalnie, mnie zazdrość zagwoździła w gardle

słowa... nie byłem w stanie przemówić.

— Prawda, że pan jesteś dla mnie życzliwy? — mówiła Dzidzia. —

Tak, ja wiem, żeś

pan życzliwy... Chciałam się pana poradzić... ale pan nie masz żadnego

doświadczenia w miłości. Powiedziałeś mi pan, że się nie kochałeś nigdy... a

jabym potrzebowała doświadczonej rady... Z rodzicami o tem mówić nie śmiem...

panny Guérin nie lubię...

Ochłonałem był trochę, więc rzekłem:

— Będę się starał dać radę najbezsronniejszą, najżycziwszą.

— Możesz się pan oprzeć na doświadczeniu innych. Może ten pański Michaś się

kocha, może Stefan...

— Naturalnie. Kocha się Michaś, kocha się i Stefan.

— Widzisz pan... pan Pawrowski się o mnie stara. Czy go mam przyjąć, czy nie?

Czułem, że gotów jestem, jak głupiec, krzyknąć, że ją kocham, właśnie w chwili,

gdy ona może miała wyznać mi swą miłość dla Pawrowskiego; więc uciekłem z placu

boju. Spojrzałem na zegarek, który od trzech dni miał pękniętą sprężynę i

udałem, że się spóźniłem na rendez-vous z adwokatem.

— Jutro! — zawołałem, — jutro poradzę pani... Przygotuję się... namyśle...

Uciekłem. Za mną goniła zazdrość piekielna, za mną gonił żal, na pięty

następowała mi rozpacz.

Błąkałem się po ulicach, bom się bał wzroku M-chasia i Stefana. Na szczęście nie

było ich w domu, gdym wrócił. Przyszli wkrótce, ale udawałem, że śpię, choć mię

boleść podrywała z posłania. Michaś wziął trochę śniegu, przyniesionego na

kaloszach i położył mi na czole, alem ani drgnął.

Nazajutrz nie mówiłem z Dzidzią. Była zmęczona po balu, więc nie było lekcyi.

Ujrzałem ją dopiero przy herbacie, na którą mię pan Pawęza zatrzymał. Poznałem

Pawrowskiego. Miał on może lat trzydzieści i bardzo, ale to bardzo przyjemną powierzchowność". Był podobno doskonałą pod każdym względem partycją... Siedział obok Dzidzi i rozmawiał z nią przez cały czas. Była w nim jakaś słodycz, powaga i wykwiut. Dzidzia spoglądała w moją stronę od czasu do czasu, jakby pytając mnie lub biorąc za świadka.

Ah, ta herbata u Pawężów! Taką godziną, jaką tam przeżyłem, można odpokutować, nie wiem, jakie grzechy! Widzieć ukochaną kobietę, siedzącą tak u boku innego mężczyzny, uśmiechającą się do niego... Zapytywała mnie przytem wyraźnie wzrokiem: "Czy mam go przyjąć, czy nie?" Aż się wzdrygam na myśl o mękach, jakie w tej godzinie przeżyłem!

Pawrowski przesiadywał teraz u Pawężów, lekcye szły piąte przez dziesiąte albo i nie szły wcale, uciekałem od Dzidzi" bo mi się chciało płakać w jej obecności.

Pan Pawęża mi teraz dyktował z jakiegoś zamazanego rękopisu, ale mnie raz

dziewczyzna przydybała samego w gabinecie.

— Obiecałeś mi pan radę i nie dałeś jej, — rzekła, siadając w fotelu, — pan jesteś teraz dla mnie

taki niedobry... taki zimny... ja nie mogę znieść, żeby dla mnie był kto tak

zimny...

— Prawdziwie nie wiem, z kąd mnie taka łaska spotyka, — odparłem z gryzącą ironią,

— pani raczysz uważać, jakim jestem dla pani!...

— Nie trudno zauważyć! Jesteś pan nieznośny, i koniec!

- Myślałem, że pani masz uwagę tylko dla pana Pawrowskiego.
- Tak też jest i o niego właśnie mi chodzi... Nie wiem, co mam z nim zrobić.
- Jeżeli go pani kochasz...
- Kiedy właśnie tego nie wiem. Spojrzałem zdumiony.
- I dlatego chciałabym rady. Żeby mi też pan powiedział, czy ja go kocham, czy nie kocham. Niby go lubię, a gdy pomyślę, że musiałabym z nim sama wyjechać i tam gdzieś w jego domu z nim sama siedzieć, to mię dreszcz przejmuje. Mama mówi, że takiej partyi się nie lekceważy i do odmowy trzeba mieć słuszne, rzeczywiste powody... a ja nie wiem, czy mam rzeczywiste powody, Czy nie.
- Pani go kochasz, już widzę, że go pani kochasz! — zawołałem.
- Żebym tego była pewna... Po czym się to poznaje?... jak się to kocha?...
- Czy myślisz pani o nim ciągle... nieustannie?
- Myślę czasem.
- Czy rozmowa z nim miłszą jest pani nad wszystko?
- Lubię z nim rozmawiać.
- Nie napisałaś pani żadnego sonetu?
- 
- Nie.
- Bezsensowność...
- Śpię doskonale.
- Czy serce pani bije, gdy on się zbliża?
- Biję, gdy się zmęczę w tańcu.
- Może więc jest to jedna z tych spokojnych miłości, które ani snu, ani apetytu nie odbierają... Może taką jest zawsze miłość szczęśliwa... niewątpiąca o wzajemności...
- Ale jakże się panu zdaje?... z doświadczenia kolegów?
- I oni dość spokojnie kochają.
- Kiedy tak, to jutro przyjmę pana Pawrowskiego.

Coś się we mnie zagotowało, jak w kotle.

— Przyjmij go pani, — zawołałem z najwyższą goryczą i bólem, —  
przyjmij go, bo

on ma dostatki, piękną rezydencję, służbę, cugi... bo on panią  
powiezie za

granicę i da pani brylanty, jako dar ślubny!...

Dzidzia stanęła przedemną zdziwiona, uśmiechnięta, jakby  
uradowana.

— Tak, może da brylanty, ale czego się pan gniewasz?

— Bo gdyby on był biedakiem, nie dochodziłabyś pani czy go  
kochasz czy nie... Od

razu byś zdecydowała, że go nie kochasz! Mnie oburza to, że ludzie  
miłości,

najwznieśliszego uczucia ze wszystkich, nie odróżniają od chęci  
posiadania

rezydencji czy tam jakichś materialnych korzyści!... mnie to boli, że i  
pani!...

— Wszak pan sam mi powiedziałeś, że zapewne go Kocham... to  
pańska rada...

Tak, to była moja rada! Sani radziłem Dzidzi, by szła za

Pawrowskiego! Porwałem

za czapkę i bez pożegnania uciekłem, zostawiając w gabinecie pana  
rozłożone

papiery.

Nazajutrz nie przyszedłem ani na lekcję ani do pracy z panem.

Oznajmiłem przez

posłańca, że byłem chory, co było wierutnym kłamstwem, ale nie  
miałem siły iść

do Paweżów w dniu, w którym Dzidzia miała zostać narzeczoną.

Narzeczoną! Piękny mój sen się skończył. Można niczego nie żądać  
od kobiety,

można poprzestać na modleniu się do niej z daleka, ale tylko póki jej  
serce nie

należy do innego. Gdy je innemu oddała, trzeba albo zabić ją i siebie,  
albo



zapomnieć i pogardzić!.. Nigdy nieudało mi się napisać strof, tak pełnych siły,  
tak wrzących pogardą, tak gryzących ironią, jak te, które wtedy  
rzuciłem Dzidzi,  
jakby prosto w twarz. Deptałem ją w błocie jej żądz dostatków i  
złota, w  
mizernym kale zmaterializowania i nędzy uczuć, oddających się w  
imię rezydencji  
i brylantowego naszyjnika! Michaś ze Stefanem byli w teatrze, bo  
grała dnia tego  
Wisnowska, a oni obaj byli wisnowczyki (ja byłem wiernym  
czakistę). Byłem sam  
przy moim stoliku i doznawałem naprzemian najdzikszych tortur  
zazdrości i bólu,  
to znowu rozkoszy wyrażania tych uczuć w słowach  
wszechpotężnych, gdy zapukano  
do drzwi, i ukazał się przedemną pan Pawęza we własnej osobie.  
— No, chwała Bogu, — rzekł, — nie jest znowu tak źle, kiedy pan  
pracujesz...  
przestraszyliśmy się chorobą pana... Gdyby nie Dzidzia, nie  
wiedziałbym, gdzie  
pana szukać... ona zapamiętała adres...

— Panna Jadwiga — odparłem zmieszany, — doprawdy... niewiem  
czem zasłużyłem...  
nie spodziewałem się, że raczy pamiętać... w dniu, tak dla niej  
ważnym...  
— O jakim ważnym dniu pan mówisz? — spytał pan Pawęza.  
— Panna Jadwiga mi mówiła... wiem wszystko.  
— Co pan wieś?  
— Że dziś przyjmie lub już przyjęła pana Pawrowskiego... że się  
zwiąże  
przyrzeczeniem...  
— Cóż znowu? Ależ to żarty!.. Dzidzia jest tak młoda... Pawrowski  
kręci się

wprawdzie koło niej, ale o przyjęciu go przez nią niema mowy dotąd.  
Aj, Dzidzia,

Dzidzia! Bawi się w mistyfikowanie pana! Wyłaję ją, o ile ja ją łajać potrafię.

Co to tym młodym dziewczętom przychodzi do głowy! Jest to przynajmniej z jej

strony dowód wesołości i zdrowia... No, ale cóżto było z panem?

Doprawdy byłeś

pan chory?

Nakłamałem mu zdrowo o jakimś szalonym bólu głowy... jakimś zemdleniu...

— To od zbytku pracy, — rzekł pan Pawęża. — Nieraz panu mówiłem, że, jak inni

przesadzają w próżniactwie, tak pan przesadzasz w pracy. Odpocznij pan sobie

koniecznie... Ja pana uwalniam na cały tydzień i od przepisywania u mnie, i od

lekcyi z Dzidzią... Będę się gniewał, jeżeli pan przyjdiesz. Przez cały tydzień

nie chcę pana widzieć... Może panu potrzeba pieniędzy... czerp pan u mnie,

proszę, jak we własnej kasie.

Dostałem za swoje kłamstwo! Przez tydzień miałem nawet nic nie wiedzieć, co się

dzieje w domu,

po za którego obrębem niebyło dla mnie życia! Za pomoc podziękowałem panu

Pawęży. Znowu mu nakłamałem, że miałem zasoby... zdaje mi się, że mu nawet

wmawiałem, iż wypożyczam na procenta... Coś mi się zdaje, że mi nie uwierzył.

Kręcił głową, ale

o pieniądzach więcej nie wspomniał, tylko mi wyraźnie zamknął dom na cały

tydzień. Wypraszałem się, nic nie pomogło.

— Jesteś pan chory od zbytnej pracy, — powtarzał, — wiem, że  
trzebaby było  
zważyć o kraju, w którymby nie było tak porządných, pracowitych  
i skromnych młodych ludzi, jak pan, ale obowiązkiem otaczających  
jest  
przeszkadzanie, o ile możności, by się nie stała krzywda  
społeczeństwu... by  
młode siły nie stargały się w zbytnej pracy. Zamiast godzin siedzenia  
w naszym  
domu używaj pan spaceru... Świeże powietrze i ruch... nic nad to  
lepszego dla  
młodych być nie może!  
Gdzież ja byłbym cały tydzień wytrzymał bez Dzidzi! Zaraz nazajutrz  
usłuchałem  
pana Pawęży. Nie nie robiłem, nie poszedłem na wykłady, tylko  
chodziłem po ulicy  
Dzidzi, jak wilk koło owczarni, czatując na nią. Moja owieczka  
wpadła mi w  
paszczę. Takeśmy się na siebie natknęli, że aż się Dzidzia  
przestraszyła.  
Zaczerwieniła się, jak wiśnia. Zdawało mi się, że Francuzka, która jej  
towarzyszyła, była uradowana z naszego spotkania się, przynajmniej z  
jej gestów  
to zrozumiałem.  
— Myślałam, że pan chory leżysz pod dwiema kołdrami, — mówiła  
Dzidzia, — że  
doktor posepnie kiwa głową nad panem... koledzy tracą głowę...  
telegrafują do  
rodziców... że sukcesorowie pana...

— O, ci wcale nie byli zaniepokojeni, mogę panią, zapewnić!...  
Gdyby pan  
Pawrowski umierał...  
— Po co ma umierać? Jest najzdrowszy w świecie... Wczoraj wieczór  
z nami  
spędził...

— I odszedł szczęśliwy? — zapytałem ze drżeniem w głosie.  
Szedłem obok Dzidzi, nie zapytawszy nawet, czy mi pozwoli  
towarzyszyć sobie w  
samotnym spacerze, bo przecie Francuzki, nierozumnej po polsku,  
za świadka  
liczyć nie mogłem. Dzidzia nosek ukryła w mufce, oczy jej się śmiały  
z za  
woalki, ale nie odpowiadała.

— Odszedł szczęśliwy! — zawołałem mocniej, nie panując już nad  
sobą.

— Nie pytałam go o to, — rzekła wreszcie Dzidzia.

— Ale przyjął go pani! Zgodziłaś się zostać jego...

— Niezupełnie. Przyjęłam go tylko tak, na próbę.

— Na próbę?

— Powiedziałam mu, że spróbuję być jego narzeczoną... będzie miał  
wszystkie

prawa narzeczonego, ale tak sobie, na żarty... tak jak lalki Luli i  
Mańki oddają

wizyty i jedzą kluseczki z papieru, obsypane tłuczoną cegłą, niby  
bułeczką, i

babki z piasku, ubierane nasieniem ogórków, niby migdałami. My  
sobie tak na niby

będziemy narzeczonymi. Pragnę za pomocą tej próby przekonać się,  
czy ja

chciałabym naprawdę być narzeczoną pana Pawrowskiego.

— I on zgodził się na ten układ?

— Zgodził się. Oznaczyliśmy termin... Sześć tygodni będę ogromnie  
badała moje

własne serce, a pan

mi zawsze będziesz doradzał i doświadczeniem swoich kolegów mi  
służył... dobrze?

— Kiedy ja cały tydzień, nie będę przychodził... pan Paweża mi  
zabronił...

— To właśnie doskonale. Będziemy się codzień spotykali na  
spacerze... Ja panu

zawsze godzinę wyznaczę... O, bo ja doprawdy potrzebuję oświeconej rady... a

niczyja mi tak nie dogadza, jak rada pana... Jak to doskonale, żem za nia poszła

i żem przyjęła pana Pawrowskiego! Wprawdzie na niby tylko, ale i to już ważny

krok. Nie prawdaż?

— Nie wiem. Doświadczenie moich kolegów nie mi w tym względzie nie wskazuje.

Nigdy o takim układzie na niby nie słyszałem. Ale zawsze to krok naprzód. To

taki nowicyat... Przecie zakonnice próbują przez czas jakiś, czy będą mogły

zostać oblubienicami Chrystusa...

— Proszę mi z tych rzeczy nie żartować i nie porównywać moich małych prób z

powołaniem na sługę Chrystusa... Jeżeli pana Pawrowskiego wezmę na męża, to

tylko dla tego, że jest bardzo religijny... A może naprawdę go wezmę!... Jeżeli

uda się próba pierwsza, to potem zostanę jego żoną, też na niby.

Moja droga Dzidzia, jakie ona głupstwa plotła!

Choć byłem zbolały do głębi duszy, jednak śmiałem się, co sił.

Francuzka

patrzała na nas, jak na dwoje waryatów, i za plecami Dzidzi

pokazywała mi,

przyciskając serce ręką, że ja jestem zakochany. Posłałem jej od ust dyskretnego

całusa, bo nosek Dzidzi wciąż czegoś szukał w otworze mufki, i nie mogła

widzieć, co my z Francuzką mówimy.

— Czego się pan śmiejesz?

— Z tego miodowego miesiąca pani! Miód będzie w nim, jak te kluseczki papierowe

i babki z piasku... niczyje usta go nie dotkną.

— Ja pana proszę o radę, o pomoc, a pan się ze mnie śmiejesz! Mam tak ważny krok do postawienia w życiu, a pan sobie żartujesz! Jak ma tak być, to nie chcę ani rady, ani spacerów przez ten tydzień!... Z narzeczeństwa na niby zrobię narzeczeństwo naprawdę, a potem ślub naprawdę i miodowy miesiąc naprawdę! Kiedy ze mnie żartują ci, w których życzliwość wierzę, to sobie poszukam takich, którzy mię będą traktowali, nie jak dziecko, ale jak żonę, jak dorosłą osobę! Panu się zdaje, że dlatego, iż jestem uczenicą pana, to pan masz prawo obchodzić się ze mną, jak z niemowlęciem! Zostanę żoną i będę nosiła kapotki, pióra, brylanty, ogony u sukien, i już nikt nie będzie miał powodu uważać mię za... Rozpłakała się. Chciałem ją przebłagać, przysięgałem, że nic nie było na świecie rozumniejszego i dającego dowód większej znajomości życia, jak takie wzięcie sobie męża na próbę, ale Dzidzia nie dała się ułagodzić. Gniewała się na mnie i płakała... Kazała mi odejść, zostawić ją własnemu jej losowi! Musiałem być posłuszny. Gdym odchodził ze zranionem śmiertelnie sercem, zawołała na mnie głosem, do łkania podobnym:

— Jutro wyjdę z panną Guérin o samej drugiej, ale zabraniam panu towarzyszyć mi lub znaleźć się na mojej drodze... nawet wogóle na ulicy... Od drugiej do wpół do czwartej proszę siedzieć w domu! Uchyliłem czapki na znak posłuszeństwa. Co

ta Dzidzia ze mną wyrabiała! Sam nie wiedziałem, jak się to stało, że wróciłem do domu z chustką, mokrzuteńką od łez. Istna ze mnie była baba! Nazajutrz o pięć minut przed drugą byłem na czatach. O samej drugiej wyszła Dzidzia z Francuzką i nuż się oglądać na wszystkie strony, jakby kogo szukała. Udała, że mię nie widzi; podbiegłem i rzekłem pokornie: — Tylko ten jeden raz, panno Jadwigo, już jutro nie przyjdę... Nietylko zostanę w domu, ale wyjadę z Warszawy... całkiem wyjadę! — Trzeba było to uczynić dzisiaj, — rzekła Dzidzia wyniosłe. Szliśmy chwilę w milczeniu. Francuzka mi pokazywała na migi, że Dzidzia płakała. Serce moje rozdarło mi się. Byłem najnieszczęśliwszym z ludzi. — Panno Jadwigo... panno Jadwigo, — szeptałem, — już nigdy w życiu nic takiego nie powiem... jestem gbur obrzydliwy... jestem nikczemny... Nosek Dzidzi począł znowu czegoś szukać w mufce. Zdawało mi się, że się jej oczy śmiały, wreszcie powiedziała mi, że mi przebacza ćwierć mojej winy. Trzy czwarte zostawało na rachunku. Dla tej ćwierci przebaczonej miałem prawo iść z nią na spacer, ale dziś tylko; jutro miałem wyjechać z Warszawy. Na tym spacerze dowiedziałem się nowej rzeczy: Leoś prosił, by mu pozwolono bywać z zamiarem starania się o rękę Dzidzi. Jego milionowy stryj życzył sobie połączenia się z rodziną Pawężów, i Leoś po skończeniu kursów... — Wszak pani Leosia niecierpisz?

— Niecierpiałam go w istocie, ale od jakiegoś czasu przekonałam się, że jest bardzo przyjemny.

Bałem się obrazić Dzidzię, więc odłożyłem sobie powiedzenie, co  
myślę o. Leosiu,  
na chwilę, gdy i owe trzy czwarte zostającej jeszcze na rachunku winy  
odpuszczone mi zostaną.  
— Bo ja sobie postanowiłam zostać w tym roku narzeczoną na dobre,  
— mówiła  
Dzidzia, — a byłem została narzeczoną...  
— To już przeskok do kobierca ślubnego najłatwiejszy.  
— Nie jesteś pan wcale domyślny. Byłem została narzeczoną, będę  
cierpliwie  
czekała choćby trzy lata, choćby dziesięć lat... Tylko mię to nudzi, że  
nie wiem  
jeszcze, kogo na męczennika sobie obiorę. Bo ja go będę okropnie  
męczyła. Musi  
mię słuchać, zgóry mu to zapowiem!  
Przez cały tydzień codziennie chodziłem z Dzidzią na spacer. Pan  
Pawęża powinien  
być być zadowolony, bom spacerował na zabój i nic nie robiłem.  
Byłem temi  
spacerami okrutnie rozmarzony... paliło mi się w głowie... Wszędzie  
widziałem  
Dzidzię, nawet w mętnych rosolach i wiecznej, nieodmiennej białej  
sztukamięsie  
pani Bulskiej. Ciągiem sobie w głowie przekładał to Pawrowskiego,  
to Leosia, bo  
Dzidzia teraz była niezdecydowana, którego z nich wolała. Ojciec jej  
był za  
Pawrowskim, matka za Leosiem, ale zostawiali jej zupełną swobodę  
wyboru..  
Wszystko od jej serca zależało, a serce coraz bardziej zagadkowe  
było. Próba  
narzeczeństwa szłaby doskonale, gdyby nie to, że Pawrowski  
niemożliwa bukiety  
przysyłał codzień rano. Ona lubiła tylko



drobne i pachnące kwiatki, a on zarzucał ją kameliami i tym podobnymi chwastami.  
Co gorsza, grywał na fortepianie, a Dzidzia jeden tylko instrument lubiła, —  
głos ludzki. Wiecznie występował z jakimiś Schumann'ami i Beethoven'ami i kazał jej admiirować różne muzyczne zawiłości. Jeżeli tak miało być całe życie, to lepiej było poprzestać na próbie. Ale zresztą nic jeszcze nie wiedziała! Leoś był bardzo piękny... przecież sam mówiłem, że był piękny, i Dzidzia teraz spostrzegła, że tak było rzeczywiście. Co to za przyjemność mieć zawsze w domu u siebie na własność taki piękny przedmiot! Powiedziałem jej wyraźnie moje zdanie o Leosiu i wraz z jej ojcem byłem za Pawrowskim. Co za porównanie! Nawet to, że grywał na fortepianie, stawiało go po nad Leosia, który grywał tylko w karty. Ale Dzidzia utrzymywała, że gra w karty przynajmniej hałasu nie robi. Nie mogłem z nią dojść do ładu! Raz mi powiedziała, że koniecznie jej potrzeba, żebym ja się zakochał; ale to koniecznie, bo mówiłem o miłości, jak ślepy o kolorach; i cóż znaczyła moja rada, kiedy ona, Dzidzia, przez sam fakt narzeczeństwa była dziesięć razy więcej doświadczona, niż ja? To znowu uczyniła mi wyznanie, że, gdyby nie rodzice, odebrałaby sobie życie. Wisła ciągnęła ją w swoje objęcia nieprzewartą siłą, której może kiedyś nie zdoła się oprzeć. Hop! Jeden podskok i koniec! Już wtedy ani Pawrowski, ani Leoś! Może jednak lepszy od samobójstwa był klasztor. Trzeba, żebym ja nad tem dobrze pomyślał i dał jej

radę. Idąc do klasztoru, nie rozedrze tak strasznie serca rodziców.  
Tylko, że  
tam znowu reguła nakazywała nie kochać nikogo

i nie być przez nikogo kochanym, a ona wychowana była w wacie i  
obłożona  
bańkami... Musiała być kochaną koniecznie... nie mogła znieść, by jej  
niekochano

!...

I nagle przy tych słowach w płacz! I ja, i panna Guérin uspakajaliśmy  
ją, ale  
ani francuskie, ani polskie słowa nic nie pomogły. Wciąż — to Wisła,  
to  
klasztor!

Biedna Dzidzia! Tak bałem się rozdrażnić ją lub obrazić, że wróciłem  
prawie do  
mojej dawnej nieśmiałości. Gdy się znalazłem z nią sami na sam przy  
lekcji lub  
wieczorem przy przepisywaniu rękopisu, omijałem wszelkie drażliwe  
kwestye,  
siedziałem, jak trusia, nie wysuwałem się z żadnymi radami, nawet się  
bałem  
podnieść oczy od książki, żeby czasem spojrzenie moje jej nie  
zniecierpliwiło.

Wciąż mię prześladowała trwoga, że mi się rozpłaczę, jak wtedy na  
spacerze...

Kilka razy już, już tylko co łez niebyło widać, ale się przecież  
uspokoila.

Ciągle jednak czułem jakąś czarną chmurę, zawieszoną nad nami,  
grożącą  
oberwaniem się.

Raz naprzykład Dzidzia poczęła rai wyrzucać, że jestem człowiekiem  
bez serca,  
pozbawionym wszelkich uczuć... taki zimny ślimak, zamknięty we  
własnej skorupie

i nią tylko zajęty. Że czułem łzy w jej głosie, i tylko co ich nie było widać w oczach, więc przyznałem, że byłem bez serca, bez uczuć... ślimak... przyznałem, co chciała.

— I śmiesz pan jeszcze przyznawać się do tego, bezwstydnie, bezczelnie! —

zawołała Dzidzia.

O, było źle! Michaś i Stefan ostrzegli mnie byli

przed takim stanem chorej, w którym niczem dogodzić jej nie można.

— Cóż serce winno?, — rzekłem, — nie rozwinęło się... zanikło...

taki zanik we

wszystkiem nastąpić może...

— Z jakiego powodu?

— Matki nie pamiętam... od czwartej klasy nawet wakacyi nie spędzałem w domu...

ojciec mój surowy i twardy... nikt mnie nie kocha...

— Nikt pana nie kocha? — zawołała Dzidzia, zrywając się z fotelu,

— nikt nie

kocha?

— No, tak, przynajmniej nikomu o moje przywiązanie nie chodzi...

Taki ze mnie

samotnik...

— Na cóżby się zdało kochać pana, kiedy pan już nie możesz... z powodu tego

zaniku...

Załamala ręce.

— Koledzy moi, medycy, mówią, że władzom, które uległy znieczuleniu, można

przywrócić życie... Podobne niemoce leczą się...

— Leczą się?

— Medycyna ma środki... Elektryzacja... masaż... Mowa tu naturalnie o władzach

fizycznych...

— Elektryzacja... masaż... — powtórzyła Dzidzia, — czemuż pan nie używa...

Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu, choć się okrutnie bałem, że się Dzidzia rozbeczy.

— Na obezwładnienie uczuć, — ozwałem się, innychby trzeba środków.

— No, to się pan zapytaj kolegów-medyków i powiedz mi pan jakie środki wskażą.

— Dobrze, — odparłem, pani mi też dopomożesz... Ja tyle dobrych rad podałem... teraz kolej na panią...

Chciałem ją czemś zainteresować, choćby sobą, bo wiedziałem, że praca i zainteresowanie się czemś żywe — to jedyne lekarstwo na taką nieujęta chorobę nerwową, na jaką prawdopodobnie cierpiała Dzidzia. Jakby to zrobić, by moja

kuracja zależała niby od niej, by ona coś działała, w czemś mi dopomagała?...

Głowę sobie łamałem. Postanowiłem przynajmniej udawać chłód uczuć nadzwyczajny,

by wypieszczona i wykochana Dzidzia czuła dla mnie litość, by się użalała nad

sercem, które nikogo miłować nie umiało.

— Radziłeś się pan? — zapytała mię nazajutrz.

— Podałem się konsylium trzech kolegów.

— Których? Stefana, Michasia...

— I jeszcze jednego tam... z medycyny, o którym nigdy pani nie wspominałem.

— Cóż oni mówią?

— Powiadają, że, ponieważ kobiety mają z pewnością więcej serca, niż my, więc...

więc powinienbym się udać nie do lekarza, ale... ale do lekarki.

— Do lekarki?

— Tak, i to do takiej, któraby doskonale kochać umiała... Powiadają, że na to nie potrzeba, by miała patent ze skończonej medycyny... lepsza też młoda niż...

— I cóż ona ma robić?

— Uczyć mię kochać... Ma postępować powoli krok za krokiem... uczyć kochać, jak się uczy szyć lub czytać...

— Ale trzeba do tego mieć środki... umiejętność... do nauki szycia potrzeba igły, do czytania książki, a tu?

— Oni powiadają, że trzeba tylko trochę serca...

Takem się zmieszał, powiedziawszy to, jakgdybym się był Dzidzi oświadczył. Nie śmiałem spojrzeć jej w oczy, pragnąłem czemś zagadać, wykręcić się...

— Mam nawet kogoś na myśli, — rzekłem śpiesznie.

— Lekarke?

— Tak, jedna tam panienkę... która... której...

— Jedna panienkę? — zawołała Dzidzia. Uderzyła znowu w dudki. Chciałem jeszcze

cośmówić, uspokoić ją, ale uciekła z pokoju.

Biedna Dzidzia! To dla niej potrzeba było lekarza. Rodzice jej spostrzegli, że

się z nią coś niezwykłego działo. Pan Pawęża miał teraz sfałdowane czoło, a że

ze mną był coraz otwartzszy i coraz większą okazywał mi życzliwość, więc rzekł mi

raz:

— Ach przepraszam cię, (mówił mi już ty... zaczął tak mówić mi ty, ni z tego, ni

z owego) przepraszam cię... znowu się pomyliłem, ale taką mam skłopotana

głowę... mamy wielkie zmartwienie... moja żona jest tak przybita.

Dzidzia

widocznie chora znowu... i to na jakąś nerwową chorobę. Nie wiemy, co jej jest.

Lekarze przepisali kurację, ale zapewne trzeba ją będzie wywieźć na południe. Co

za los, tak kochając dziecko, wiecznie drzeć o jego życie! Już myśleliśmy, że

będzie zdrowa, pozbywszy się blednicy... Teraz i blednica powraca, i jakieś

rozpacze, łzy bez powodu, bezsenności, fautyzye...

— Uważałem i ja, — rzekłem nieśmiało, — że panna Jadwiga chora... humor jej się

zmienił... bardzo rozdrażniona.

— Ach, to prawdziwe nieszczęście!... Od uro-

dzenia wiecznie chora! Sto razy mieliśmy ją już za straconą...

Cały dom tylko o chorobie Dzidzi mówił, cały dom rozpaczał.

Pewnego dnia

nadmieniłem pani Pawężynie, że może lekcyje męczyły pannę

Jadwigę, i może

należało ich zaprzestać. Ale podobno Dzidzia nie chciała...

Wprawdzie nic się teraz nie uczyła; tylkośmy czytali trochę... ja coś opowiadałem. Czasem całą godzinę przesiedziała — z głową,

odrzucona na oparcie

fotelu, zamyślona, jakby rozmarzona... To znowu wyprawiała mi

sceny... prawdziwe

sceny, jak żona mężowi! Com powiedział, było źle! Pytała mię z

ironia, czy się

kuruję u tej panny, o której wspomniałem. Nie chciałem jej drażnić, więc

powiedziałem, że się lecę i już zaczynam być po trochu

sentymentalny.

Ale najgorzej było, gdy się te wszystkie gniewy, marzenia i smutki w łzy

zamieniały.

Byłbym dyabłu duszę zapisał, byle Dzidzia nie płakała. Dawniej było to takie

wesołe, a teraz, byle co, lament!

Już nie wspominała ani o Pawrowskim ani o Leosiu. Pierwszy po karnawale podobno

zupełnie z Warszawy wyjechał, drugi rzadziej teraz bywał u Pawężów. Może wyjazd

Pawrowskiego tak dotknął to stworzenie, niemogące znieść, by go nie kochano,

gdy" dawało trochę serca? Raz wydawało mi się to możebnem, to znowu byłem

pevien, że Dzidzia za Pawrowskim nie tęskniła. Nie mogłem się niczego domyśleć,

ale też bardzo domyślny nie byłem. Nie mogłem naprzykład w żaden sposób dojść,

czego odemnie chciała panna Guérin. Gdybym mógł przypuścić,

że mnie, który kończyłem trzeci kurs uniwersytetu, ktokolwiek na świecie mógł

wziąć za głupca, tobym musiał przypuścić, iż miגי Francuzki znaczyły, że jestem

głupcem. No, ale tego przecie z pewnością powiedzieć nie chciała.

Dzidzia mizerniała i bladła coraz bardziej. Lekarze wysyłali ja koniecznie na

południe. Nie chciała opuścić Warszawy, ale pracowano nad jej umysłem; wreszcie

miłość Dzidzi dla matki zwyciężyła. Moje kochanie zgodziło się jechać. Cała

rodzina wybierała się w podróż, gdyż Dzidzia oświadczyła, że nie mogłaby żyć,

gdyby się musiała rozdzielić z którym z rodziców lub z siostrami. Ale to

najzabawniejsze, że mnie zabrać chciała. Wbiła sobie w główkę, że ona koniecznie

potrzebuje lekcyi i że pan Pawęża tak niewyraźnie pisze, iż bez sekretarza

obejść się nie będzie mógł. I dalej-że mnie tedy gwałtem zabierać!

Tłómaczę się,

że nie mogę, że egzamina za pasem, a ona swoje i swoje! Nie rozumiała, by jej się ktokolwiek mógł oprzeć. Płakała, nóżką tupała, prosiła, rozkazywała ze zmarszczonym czołem... Jużem chciał odprawić nowennę do Przemienienia Pańskiego, bo pani Bulska utrzymywała, że to był niezawodny sposób, jeżeli kto potrzebował, żeby mu się co odmieniło. Moja Dzidzia jedyna! Jakbym ja był chętnie z nią do Włoch pojechał... a nawet na koniec świata, ale coby byli powiedzieli Michaś i Stefan? Najwięcej się ich bałem, i bardzo długo myśl o nich utrzymywała we mnie siłę oporu; wreszcie jednak postanowiłem wszystko w trąbę puścić i jechać. Wieczorem z wielką nieśmiałością powiedziałem panu Pawęży, iż, skoro panna Jadwiga tak ko-

niecznie sobie życzy... Ale pan Pawęża wyraźnie i stanowczo się oparł. Fantazya Dzidzi była chorobliwa zachcianka... biedne dziecię nie rozumiało, że były na świecie rzeczy niemożliwe.. On, ojciec, musiał w tym razie stawiać opór dziecku, któremu zwykle niczego odmówić nie mógł. Moja chętką przejechania się do Włoch pierwszy klasa w proch się obróciła. Gdy mnie pan Pawęża tak zimna woda oblał, wydało mi się, że mnie ktoś okradł z czegoś bardzo dobrego i kosztownego, a zostałem tylko okradziony z najgłupszej myśli w świecie. Jak to dobrze, iż Michaś i Stefan nigdy najlżejszego pojęcia o



niej nie mieli! Toby mi dopiero oczy wypiekali. Już i tak nie dawali mi spokoju.

Wyciągnęli któryś z moich sonetów i nie nazywali mnie już inaczej, jak "Wieszcz.

" Przewisko to poczęło kursować między szerszeni kołem kolegów, i nawet ta gęś,

Bulska, przyjęła je. Kiedyś wpada Michaś na obiad i wola:

— Myślałem, że Wieszcz jeszcze niema! A Bulska:

— Już od kwadransa czeka... To pan się zawsze spóźnia!

Na moją biedę dla zabawienia Dzidzi powiedziałem jej o tym

Wieszcu. Napała się

sonetu. Sonetu i sonetu! Musiałem jej przynieść ten pierwszy z "palumą wyniosłą,

" bo inne były zanadto erotyczne. Dopieroż się wypytywać, kto to był ową palumą

na pustyni mego życia.

— To musi być jakaś wysoka osoba?... z pewnością nie malutka?..

Prawda, że nie

malutka?

Trzy te zdania wypowiedziała, podnosząc za

każdym głosem kilka tonów. Widziałem, że łzy były pod samym wierzchem, więc

conajprędzej przyznałem, że to była olbrzymka.

— Bardzo, bardzo wysoka... jedna z najwyższych kobiet...

Dałem sobie!

Dzidzia w płacz! Ale to w taki ten zły płacz, co to wśród łkań wybucha gorzkiemi

słowami. Poczęła mi wyrzucać, że ją oszukiwałem, że byłem obrzydliwym, wstrętnym

kłamcą, że jej wmawiałem, iż nie kocham nikogo, a ja oddawna miałem tę

olbrzymkę... tę palmę... Jej było wszystko jedno, kogo ja kochałem... mogłem

sobie kochać choćby cesarzową chińską, choćby pannę Guérin, ale ona, Dzidzia,

była wychowana w wacie i nie mogła znieść, by ją okłamywano  
bezczelnie — bez  
miłosierdzia! Nikt nigdy jej nie okłamywał... nie była  
przyzwyczajona...  
Dzidzia była po prostu zła w tej chwili. Co to za okropna choroba te  
nerwy! Ja  
naturalnie uszy po sobie i cicho!...  
— Nie stój-że pan, jak kołek w płocie, — wołała Dzidzia, — mów  
pan! Brońże się  
pan trochę!  
— Panno Jadwigo... ja doprawdy... może przynieść pani szklanekę  
wody?. może jakie  
krople?..  
— Pan nie masz krwi w żyłach, — mówiła Dzidzia, — pan jesteś  
ślepy i głuchy!  
Moje najdroższe biedactwo! Żeby jej było przynajmniej ulgę  
przynosiło takie  
wyzłosczenie się na mnie. Ale gdzie tam! Padła na fotel, zakrywając  
oczy rękami.  
Myślałem, że mdleje, i pobiegłem po panią Pawężynę, która się przed  
córką  
rzuciła na kolana, a potem prawie na rękach zabrała ją z gabinetu.

Pakowano się na gwałt u Pawężów. Kiedy wyjeżdżać, to wyjeżdżać  
natychmiast!  
Dzidzia nie chciała czekać ani chwili. Kraj jej obrzydł, obrzydła jej  
Warszawa,  
ale szczególnie Warszawianie! Żeby już ich mieć co najdalej za sobą!  
A że nie  
zobaczy już ich nigdy więcej, to wie o tym doskonale, bo ona już nie  
powróci...  
czuje to i nie myli się... Umrze tam na obcej ziemi... zdala od  
wszystkiego, na  
co jej oczy patrzyły od dzieciństwa.  
Błagałem ją, by była dobrej myśli... by nie mówiła o śmierci... ale ona  
wciąż:

— Umrę!... zobaczysz pan, że umrę!. czuję to, wiem! I cóż tam wielkiego?..

Rodzice tylko płakać będą... dla nikogo więcej nie będę "niezapomnianą."

Biedactwo! Mordowało siebie, ale mordowało i mnie okrutnie.

— Jechać, jechać conajprędzej! — mówiła jakby w gorączce, — bo mnie już pilno do

spoczynku, a ja tu nie mogę się uspokoić, nie mogę się uciszyć!..

Miano wyjechać we środę, ale przyspieszono wyjazd do wtorku, potem wyznaczono go

na poniedziałek; bo niecierpliwość Dzidzi do najwyższego dochodziła stopnia, i

bano się jakiego nerwowego ataku. Cały dom był w rozruchu, w niepokoju i w

pracy. Nie wychodziłem prawie od Pawężów. Porządkowałem papiery pana, chowałem

książki, do szaf, prawie że suknie pań pakowałem. W niedzielę wieczorem zamęt

doszedł do najwyższego stopnia. Każdy swoją drogą za czymś się rozbijał, sama

tylko Dzidzia siedziała, jak martwa, w rogu kanapy. Przed podróżą zaniechała

kunsztownego uczesania i po staremu spuściła na plecy dwa długie, choć już

nietak grube

warkocze. Znalazłem się koło niej, sam nie wiem, jak, bo miałem jeszcze jakieś

rachunki pana do sprawdzenia. Usiadłem na małym stołeczku, prawie u nóg Dzidzi.

Byłem smutny do głębi duszy. Odkąd poznałem moją jedyną, drżałem, by mi jej nie

zabrał świat... ludzie... Teraz zabierał mi ją wróg gorszy i nielitościwszy, —

choroba. Czemuż ja nie mogłem cierpieć na jej miejscu?

Rozmyślając tak, patrzałem na warkocz blond, biegnący po ciemnej sukni Dzidzi,  
lubując się jego odbłyskami złotymi.  
— Widzisz pan, jaki cienki, — rzekła Dzidzia, — połowa go tylko została...  
włosy tak wychodzą z biednej głowy... tak często boli...  
Przymknęła oczy, jakby ją światło raziło. To spuszczenie się jej powiek  
ośmieliło mię do podniesienia na nią wzroku. Patrzałem, czując, że spędzam z nią  
może ostatni wieczór w życiu. Miała złe przeczucia... kto wie, czy ją ujrzę  
jeszcze kiedy? Przez rok cały była mojem szczęściem, moją męką...  
Błogosławiłem  
ją za wszystko, co miałem od niej w sercu, co mi zostawiała w pamięci... Byłem  
wzruszony tak, że oddech mój się przyśpieszył; w duszy nie było już miejsca ani  
na nieśmiałość, ani na żadne względy światowe. Zapomniałem o wszystkim, co nie  
było Dzidzią, schyliłem się i sam nie wiem, jak się to stało,  
przyłożyłem usta  
do warkocza.  
Dzidzia nagle krzyknęła, jakby ją był ten pocałunek zabolął. Zerwała się z  
kanapy i stanęła z twarzą w płomieniach, z oczami, szeroko otwartymi?

— Przebacz mi pani, — szeptałem, nawpół przytomny, — sam nie wiem, jak się to  
stało... sam nie wiem... ten warkocz tak ciągnął usta... same do niego poszły...  
Ale ja już odchodzę... może nie zobaczymy się nigdy... już odchodzę...  
Oczy Dzidzi zabłysły, jak dwa węgle, potem nagle napełniły się łzami.

— Pan odchodzisz? — zawołała, — łatwo odejść temu, kto nie kocha!... ale ja urodziłam się malutka, jak palec... chowano mię w wacie... ogrzewano bańkami z gorącą wodą... ja nie mogę znieść, by mię niekochano, gdy ja... Zakryła twarz rękami.  
Czy to miało znaczyć, że ona... że Dzidzia... Bałem się zrozumieć... Stałem przed nią niemy, drżący... Nagle tupnęła nóżką i zawołała z gniewem:  
— Czy chcesz mię pan kochać, czy nie? Jeżeli nie chcesz, to odejdz pan, i niech cię już nigdy nie zobaczę; jeżeli chcesz, to po co masz odchodzić, i po co ja mam jechać do Włoch?  
Rzuciłem się przed nią na kolana.  
— Powiedziałeś mi pan w Pruszyńcu, że kobiecie duma nie pozwala... Ale żadna duma nie wytrzyma... Już robiłam, co mogłam... brałam się na wszystkie sposoby... ale pan jesteś taki niepojętny...  
— Już będę pojętny, — szeptałem, — nauczę się być pojętnym... ja się łatwo uczę... nauczę się wierzyć w szczęście... Pani nie wiesz... ja już od roku... Ten sonet był dla pani...  
— Ten z palmą?

— Napisałem dziesięć innych, ale spaliłem, bo Michaś i Stefan tylko czyhają... Czy mogę im powiedzieć... że... że pani mnie...  
— Otóż nie podpowiem! — krzyknęła Dzidzia. — Sam bez pomocy musisz pan dokończyć... sam wymówić wyraźnie... raz przecie wymówić!...  
— Że mnie pani kochasz! — zawołałem.

